Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

WIR ŚWIATA

tygodniowa rewja prasy

№ 29 — CENA 40 gr.

WARSZAWA 4-XI-1934 R.

DZIŚ W NUMERZE:

Walka Doumergue'a o silną władzę

Spory polityczne i różnice poglądów szarpiące Francję w chwili obecnej, dadzą się mimo ich różnorodności form i treści sprowadzić do jednego wspólnego mianownika: do walki o przywrócenie autorytetu władzy państwowej.

Po okresie, kiedy w ogólnem rozprężeniu powojennem folgowano bez granic zapędom liberalistycznym i przeciwstawianiu się wszelkiemu przymusowi państwowemu, nadszedł okres, kiedy świadomość, że silna władza jest nieodzowna, coraz głębiej przenika do szerokich rzesz społeczeństwa. W innych krajach rozwój wypadków doprowadził do bardziej krańcowych form. Francja tego uniknęła dlatego, że w okresie już po wojnie światowej mniej była narażona na wstrząsy polityczno-gospodarcze, niż inne narody. Wypróbowany system rządów demokratycznych potrafił tu przez pewien czas utrzymać równowagę między wolnością polityczną a autorytetem państwa.

Ta harmonja nie była jednak organiczna i rozpadała się coraz bardziej w miarę jak topniała powojenna „prosperity". Kiedy wkończu stawiskjada odsłoniła całą ohydę i korupcję polityczną okresu powojennego, równowaga ta, a z nią pokój wewnętrzny Francji, prysły zupełnie.

Jak każda reakcja, tak i ta wyszła od młodego pokolenia. Nie zwracała się ona jednak przeciwko nadmiarowi sztywnego porządku, lecz właśnie przeciwko nadmiernej wolności. Na przedni plan wysunął się szereg organizacyj, które podawały się za podstawy przyszłego porządku i ustroju polityczno-społecznego. Gdyby wola i zamierzenia tych formacyj były urzeczywistnione, Francja miałaby dziś ustrój bardzo podobny do dyktatury.

Lecz równocześnie powstał w szerokich kołach narodu ruch przeciwny tym dążeniom młodych. Z konstruktywnym planem utrzymania ustroju demokratycznego wystąpiły osobistości polityczne, uważane nagół za przedstawicieli obozu konserwatystów. Ci politycy byli przekonani, że demokrację tylko wtedy można będzie uratować, o ile poświęci się niektóre jej wybujałości. Niektóre prerogatywy wolnościowe trzeba, zdaniem ich, skasować, autorytet władzy państwowej zaś odpowiednio wzmocnić, i tylko w ten sposób uda się scalić instytucje demokratyczne. Twierdzą oni, że władza państwowa jest zagrożona z trzech stron. Przedewszystkiem ze strony parlamentu; partje bowiem igrają rządem jak piłką i każdy gabinet musi, by się przy życiu utrzymać, pertraktować ze stronnictwami, z poszczególnymi deputowanymi i ich głosy sobie kaptować lub poprostu kupować.

W PAŁACU WERSALSKIM.



Ludwik XIV: Waszmość nie posiada władzy absolutnej?
Gaston Doumergue: Jedyna moja władza, Sire, to możliwość ustąpienia.
„Candide", Paryż.

Drugie niebezpieczeństwo grozi rządom ze strony urzędników państwowych, albowiem urzędnicy państwowi krępują wolność ruchu rządów swojemi żądaniami, popartemi przez organizację typu związków zawodowych, pozatem potrafią oni, jako ważna i wpływowa grupa wyborcza, wywierać silny wpływ, a nawet nacisk na parlament. Trzecią grupę, podważającą autorytet władzy państwowej, stanowią wreszcie rozmaite związki, organizacje, bractwa, koncerny i związki zawodowe.

Pierwszy wskazał przed dwoma laty na to potrójne niebezpieczeństwo dla życia publicznego, niedawno zmarły wiceprezydent senatu, przedstawiciel prawicy, Maurice Ordinaire. Nie było też chyba przypadkiem, że obecny premjer, Gaston Doumergue, napisał przedmowę do książki p. Ordinaire. Wówczas Doumergue nazwał poglądy Ordinaire'a „jedyną drogą, po której przy najmniejszem ryzyku można dojść do celu".

Konieczność reformy ustroju uświadomił sobie Doumergue w całej pełni podczas swojego wypoczynku w Tornefeuille. Największymi orędownikami reformy ustroju są Tardieu i Reynaud. Wielkie orędzie polityczne Tardieu p. t. „Godzina rozstrzygnięć" ukazało się w tych samych pierwszych dniach stycznia bieżącego roku, kiedy pękł wrzód afery Stawiskiego. Ta książka, napisana z wielkim talentem i operująca wspaniałą djalektyką, przyczyniła się w znacznej mierze do spopularyzowania idei reformy konstytucji, przyczem niemały wpływ miała okoliczność, że wyszła ona w tej właśnie dramatycznej chwili. Kiedy Doumergue objął rządy, postawił sobie reformę konstytucji, po uprzedniem uspokojeniu umysłów, za główne zadanie swojego gabinetu. Przez to mają być stworzone ramy życia państwowego, które pozwolą następcom sterować nawą państwa spokojniej, niż to się działo w ostatnich latach.

TRZY KIERUNKI REFORM

Reformy mają iść w trzech kierunkach, w tych właśnie, skąd państwu największe zagraża niebezpieczeństwo. Już kilka tygodni po powstaniu gabinetu Doumergue'a powołano do życia komisję, która miała opracować reformę ustroju, a na czele której stał, aż do objęcia teki ministra spraw wewnętrznych, Marchandeau.

Komisja ta wyłoniła ze siebie cztery podkomisje: Pierwsza ma zająć się stroną prawno-ustawodawczą, druga wykonawczą, trzecia stosunkami państwa z dominującemi czynnikami w życiu publicznem, czwarta zaś ma określony cel: ma opracować plany najwyższej Rady Gospodarczej. Ostatnia podkomisja ma najwyraźniej wyznaczone zadanie; to też doszła ona pierwsza do konkretnych rezultatów w swojej pracy. Opinja tej podkomisji, wyrażona przez Kamadiera, streszcza się w żądaniu ustanowienia Najwyższej Rady Gospodarczej, złożonej z przedstawicieli pracodawców i robotników, która ma być instytucją doradczą przy rządzie, lecz ma być pozbawiona prerogatyw ustawodawczych.

O wiele ważniejsze są projekty reform, które przypisuje się podkomisji prawno-ustawodawczej, mają one iść w kierunku ograniczenia władzy parlamentu.

Przedewszystkiem ma być odebrane parlamentowi prawo inicjatywy w ustanowieniu nowych wydatków z budżetu. Deputowani będą mieli tylko prawo decydowania o wydatkach, proponowanych przez rząd, utracą zaś prawo proponowania nowych wydatków według własnego uznania. Najważniejsze i najbardziej spor-

(Dokończenie na str. 2-ej)

Walka Doumergue'a o silną władzę

(Dokończenie ze str. 1-ej)

ne są projekty, dotyczące prawa rozwiązywania izby.

Artykuł piąty konstytucji z roku 1875 ustanawia: „Prezydent Republiki może za zgodą senatu rozwiązać parlament przed wygaśnięciem mandatów poselskich". Teraz chodzi o to, by sankcja senatu odpadła; temsamem prezydent republiki zdobyłby sam prawo do rozwiązywania parlamentu i rozpisywania nowych wyborów. W tym wypadku rząd nie musiałby ustępować przed votum nieufności parlamentu, lecz możnaby przez rozpisanie nowych wyborów zwrócić się do opinji narodu, któryby wówczas rozstrzygnął zatarg między rządem a parlamentem.

Zwolennicy tego projektu wychodzą również z założenia, że izba, któraby wiedziała, iż w razie wyrażenia votum nieufności może stanąć przed ewentualnością rozwiązania i ponownych wyborów, nie będzie już z taką lekkomyślnością rozprawiać się z rządami. Jasne jest, że w parze ze zwiększoną stałością rządów pójdzie i zwiększenie ich autorytetu.

Co do zamiarów rządu w stosunku do urzędników państwowych brak jeszcze pewnych danych. Uchodzi jednak za pewne, że Doumergue zamierza odebrać im prawo zwracania się do rządu z żądaniami zapomocą związków zawodowych. Ustawowe ujęcie stanowiska prezydenta rady ministrów, który w konstytucji francuskiej wogóle nie figuruje i uproszczenie pracy parlamentu stanowią uzupełnienie programu reformatorskiego prezydenta Doumergue'a.

W sprawie reformy konstytucji dotychczas obowiązująca konstytucja ustanawia w artykule 8:

„Izby mają prawo przez oddzielne głosowanie przy bezwzględnej większości głosów, z własnej inicjatywy lub na żądanie Prezydenta Republiki, domagać się rewizji konstytucji. Po powzięciu przez obie izby oddzielnie powyższej uchwały, zbierają one się razem, jako zgromadzenie narodowe w celu przeprowadzenia tej rewizji".

Artykuł ten stosuje się w ten sposób, że obie izby już przed pierwszem oddzielnem głosowaniem wiedzą, w jakim duchu i kierunku mają być przeprowadzone reformy konstytucji. Wobec tego więc zwołanie zgromadzenia narodowego oznaczałoby tem samem zgodę izb na proponowane reformy.

„Neue Freie Presse", Wiedeń.

Opozycja nie ma znaczenia

Dziwny i nowy paradoks dominuje w obecnej sytuacji politycznej. Przeciwko P. Gastonowi Doumergue, dążącemu do zwołania stanów generalnych w Wersalu stoi — a co do tego niema najmniejszej wątpliwości — zwarta legalna opozycja większości parlamentu i również zwarta, legalna opozycja większości senatu. A jednak ta opozycja ustąpi, jeżeli premjer zechce, aby ona ustąpiła, i uczyni to wtedy, kiedy jemu się spodoba.

Innemi słowy, prezes rady ministrów ma wprawdzie przeciw sobie pokaźną opozycję parlamentarną, lecz, wobec tego, że opiera się na opinji publicznej, ta opozycja nie ma żadnego znaczenia, albo ściślej ma ona takie znaczenie, jakie P. Doumergue uzna za stosowne jej przyznać.

Trudność nie polega na tem, by do Wersalu doprowadzić. Dopiero po powrocie stamtąd zaczną się przed rządem piętrzyć trudności.

„La Presse", Paryż.

Rola socjalizmu

Socjalizm nie ma już dzisiaj tego charakteru demokratycznego, który mu wbrew marksizmowi w swoim czasie nadał Jaures. Socjaliści nie wzięliby dzisiaj udziału w „Święcie Republiki", nawet gdyby prezydent Lebrun zdecydował się salutować ich czerwone sztandary.

Dziś socjalizm ma tendencje dyktatorskie i antyparlamentarne, tak samo, jak komunizm, z którym właśnie połączył się.

Zjednoczony front socjalistyczno-komunistyczny, stworzony w celu zwalczania faszyzmu, jest — o ironjo — w najwyższym stopniu skłonny powitać dyktatora, któremu może zamknąć drogę tylko osłabiona biurokracja republikańska i armja. Ale przez tę przeszkodę dyktator przebije się, nawet za cenę przelewu krwi, o ile, oczywiście, parlament nie będzie dosyć rozsądny, by pójść drogą, jaką mu wskazuje Gaston Doumergue, o ile nie znajdzie w sobie dość silnej wiary republikańskiej, aby ocalić demokrację.

„L'Ordre", Paryż.

Zadanie premjera Doumergue'a

Na szóstego listopada, kiedy parlament zbierze się na sesję, można się spodziewać wielce burzliwych dyskusyj. W kuluarach parlamentu szeroko mówiono o możliwości przesilenia rządowego i o definitywnem wycofaniu się P. Doumergue'a z życia politycznego.

Wiele tu zależy od giętkości umysłowej premjera w ostatnich dwóch tygodniach. Jeżeli będzie uparcie trwał przy swojem, burza stanie się nieunikniona, albowiem senat jest stanowczo przeciwny pozbawieniu go prerogatywy sankcjonowania lub założenia swojego veto w sprawie rozwiązania parlamentu.

P. Doumergue stracił już swój przysłowiowy uśmiech dzięki któremu stał się tak popularny podczas swojej prezydentury i przyjmuje to wszystko w bardzo złym humorze. Stał się bardzo wrażliwy na krytyki i powiadają, że zupełnie stracił panowanie nad sobą, kiedy posłowie lewicy senackiej zjawili się u niego, by mu swe skargi przedłożyć.

ZDENERWOWANY PREMJER.

O jego nastrojach daje wyobrażenie zdanie, które przy pewnej sposobności w ostatnich dniach wypowiedział:

Oskarżają mnie, że mam zamiar zgwałcić konstytucję. A tymczasem ja jestem jej ostatnim i jedynym obrońcą.

Jeżeli zły humor P. Doumergue'a będzie nadal trwał, mogą z tego wyniknąć bardzo przykre następstwa dla rządu jedności narodowej. Mimo to istnieje nadzieja, że p. Doumergue, który sobie doskonale zdaje sprawę z powagi sytuacji, pójdzie jednak na pewne kompromisy.

Na wtorkowem przyjęciu senatorów lewicy oświadczył on, że użyje wszystkich legalnych środków dla przeprowadzenia swojej reformy konstytucji, nie cofając się nawet, o ile tego zajdzie potrzeba, przed rozwiązaniem parlamentu.

— Lecz—dodał—nie zrezygnuję, aż nie będę pobity na wszystkich punktach.

Z tego zaś wynika, że prawdopodobnie zgodzi się na to, aby go na niektórych punktach pobito, nawet na punkcie rozwiązania parlamentu.

We Francji powszechnie wiadomo, że w obecnym systemie parlamentarnym jest wiele do poprawienia, lecz nie widać słusznego powodu, dla którego mianoby pozbawiać senat jego prerogatyw w sprawie rozwiązywania parlamentu i poddać je wyłącznej decyzji i inicjatywie premjera oraz prezydenta republiki, czy nawet prezydenta samego. Senatorowie przytem słusznie powiadają, że od roku 1887 ani razu nie radzono się ich w sprawie rozwiązania parlamentu, i nie dali ich zdaniem żadnego powodu do uważania ich za przeszkodę do rozwiązania izby niższej.

Jeżeli P. Doumergue ustąpi na tym punkcie, Zgromadzenie Narodowe w Wersalu prawdopodobnie uchwali inne jego reformy. Jego projekt, dotyczący pozbawienia posłów prawa proponowania nowych wydatków, nie napotyka na poważną krytykę, ani na opozycję zbyt zaciekłą. Co się zaś tyczy sprawy urzędników państwowych, to socjaliści napewno staną w obronie ich prawa do strajku, lecz większość izby oprze się im i poprze raczej projekt P. Doumergue.

Trzeciego listopada P. Doumergue ma przemawiać przez radjo do narodu, lecz już za dużo ludzi w kuluarach parlamentu mówi, że Doumergue „Wygrał wszystkie swoje atuty" i że nie będzie katastrofy, jeżeli odejdzie.

W każdym razie ustąpienie człowieka, który „ocalił Francję" po wypadkach z lutego, nie groziłoby już dzisiaj takiemi poważnemi następstwami, jak kilka miesięcy temu, kiedy mogło łatwo dojść do nowego rozlewu krwi, tym razem z inicjatywy rojalistów, czy też Croix de Feu. Dziś to niebezpieczeństwo już nie grozi.

„The Manchester Guardian", Londyn

Historja filmu nakręconego podczas zamachu w Marsylji

Wskutek starań rządu francuskiego, zabroniono i w Polsce wyświetlania filmu, nakręconego podczas zamachu na króla Aleksandra w Marsylji.

Historja ta jest tak zdumiewająca, że w zupełności zasługuje na opowiedzenie jej ze wszystkiemi szczegółami.

We wtorek 9 października, wszyscy operatorzy aktualności filmowych, znajdujący się w Marsylji, byli na stanowiskach, gotowi do filmowania przybycia króla Aleksandra, i jego przejazdu ze Starego Portu do Prefektury. Wszystko było tak przygotowane, aby film mógł być wyświetlany w Paryżu jeszcze tegoż wieczora lub najpóźniej nazajutrz.

Reporterzy kinematograficzni obdarzeni są równie zimną krwią oraz sumiennością, jak ich koledzy z prasy. Z chwilą, gdy morderca wyskoczył z tłumu, podwajają gorliwość i kręcą bez przerwy. Mimo paniki bezsilnej służby bezpieczeństwa, udaje im się sfilmować cały przebieg zamachu. Trzech operatorów jest ran nych. Ale dzięki ich wspaniałemu samozaparciu się, zdobyto dokument niezwykłej wagi.

We środę 10 października kina paryskie zapowiadają film z zamachu w Marsylji. Wówczas Minister Spraw Wewnętrznych apeluje do lojalności i patrjotyzmu (sic!) wytwórni filmowych, aby zrezygnowały z wyświetlania tego filmu, który mógłby wzbudzić niezdrową ciekawość i zakłócić spokój publiczny. Wytwórnie, mające przedewszystkiem za zadanie bezstronne informowanie publiczności, powołują się na swoje prawa, i odmawiają posłuszeństwa. Należy tutaj przypomnieć, że aktualności filmowe nie podlegają żadnej kontroli, gdyż dzięki dekretowi ministra Herriot z roku 1928 podlegają one prawu prasowemu, a we Francji istnieje absolutna wolność prasy.

Zamach w Marsylji jest wyświetlany w wielu kinach w całości, we czwartek 11 października na seansie popołudniowym. Wywołuje on we wstrząśniętej do głębi publiczności przygnębiające wrażenie, gdyż jest to przytłaczający dowód niewybaczalnego niedbalstwa wyższych urzędników służby bezpieczeństwa.

We czwartek wieczorem Ministerstwo grozi zamknięciem kin, wyświetlających przebieg zamachu. Mimo to wielu właścicieli kinematografów nie poddaje się — film nie schodzi z ekranu!

Nazajutrz poproszono ich o wycięcie 30 mtr. taśmy filmowej, przedstawiającej chwilę, gdy zbrodniarz wyskakuje z tłumu. Dyrektorzy kin usłuchali i incydent wydawałby się absolutnie zlikwidowany. O nie! W piątek wieczorem przybywają inspektorzy policji z poleceniem całkowitego wstrzymania projekcji filmu. Większość właścicieli żądą piśmiennego nakazu i ignoruje tego wieczora rozporządzenie ministerstwa. Ale nazajutrz, w sobotę, muszą się poddać i wyciąć cały zamach w Marsylji, gdyż tym razem rozkaz wydał sam p. Doumergue. Woleliśmy nie widzieć szanowanego powszechnie nazwiska Premjera w tej awanturze!

*

Tymczasem mimo dziecinnych starań Rządu francuskiego wszystkie kraje wyświetlają film w całości. Oprócz Niemiec, które powodowane „taktem międzynarodowym" (?) zabroniły wyświetlania filmu, możemy być pewni, że wszystkie kraje świata zadowolnią wcześniej czy później uzasadnioną ciekawość i poznają prawdę, należącą do historji.

„Gringoire", Paryż

Władimir d'Ormesson

Ambasada niemiecka w Warszawie i polska w Berlinie

Niemcy były jedynem wielkiem mocarstwem (poza Japonją), które utrzymywało w Warszawie tylko poselstwo. Francja, Anglja, Stany Zjednoczone, Włochy, Z.S.R.R. i Turcja mają już w Warszawie akredytowanych ambasadorów.

Jeżeli Niemcy delegowały tam tylko ministra pełnomocnego, to nie czyniły tego dlatego, że uważały tę placówkę za drugorzędną. Chciały one raczej tem wykazać swoją wyższość nad Polską i nie chciały jej przyznać tego stanowiska w Europie, na jakie w rzeczywistości zasługuje. Jest to zresztą w duchu tradycji Bismarcka: Polskę traktować, jako coś podrzędnego. Wystarczy przeczytać pamiętniki Bülowa.

Od chwili powstania Trzeciej Rzeszy, zmieniono w Berlinie taktykę w stosunku do Polski. Uczyniono to z dwóch powodów.

Przedewszystkiem dlatego, że Polska wykazała swoją energiczną postawą wysłaniem załogi do Westerplatte, iż nie będzie tolerowała najmniejszego incydentu w Gdańsku. W Berlinie spuszczono odrazu z tonu. Hitler zachowywał się, jak gdyby naprawdę był postrachem Europy, ale w rzeczywistości sam się bał. W Berlinie poważnie liczono się z ewentualnością wojny prewencyjnej i chciano jej uniknąć za wszelką cenę.

Z drugiej strony Hitler wyrozumował sobie, że jedynym sposobem porozumienia się z Francją jest pogodzenie się z Polską. Droga do Paryża prowadzi przez Warszawę, tak informowali go jego doradcy dyplomatyczni.

Niech będzie przez Warszawę! Ta zmiana frontu była dla Hitlera tem łatwiejsza, że jego „idée fixe" jest Austrja. Zmienił więc tylko, przynajmniej czasowo orjentację polityki niemieckiej ze wschodu na południe.

Polska bardzo zręcznie wykorzystała tę sytuację. Oskarża się ją, że poświęciła chętnie swój sojusz z Francją na korzyść Niemiec. Oczywiście dużo dałoby się powiedzieć na temat polityki zagranicznej Polski, a szczególnie na temat antyfrancuskiej propagandy w Polsce, lecz mimo to należy przyznać, że gra polska w stosunku do Berlina jest bardzo zręczna.

Po dobrem zastanowieniu się, trzeba przyznać, że wszystkie korzyści z tej polityki wyciąga Polska. Przez piętnaście lat sprawa „korytarza" wisiała nad Polską, jak miecz Damoklesa. A potem pewnego pięknego dnia Niemcy proponują przez dziesięć lat o tej sprawie wogóle nie mówić.

Czyż Polska miała odmówić? Miała nie zgodzić się na korzystne dla niej uregulowanie stosunków w Gdańsku, na wolną rękę w stosunku do mniejszości niemieckiej? Pozatem, jeżeli niemcy tak bardzo parli do rewizji granicy wschodniej, to czynili to dlatego, że wiedzieli iż czas pracuje przeciw nim. A teraz Hitler sam gwarantuje ten czas. Bo jeżeli po dziesięciu latach niemcy sprobują wznowić sprawę „korytarza", nikt im już nie uwierzy. Nie wiem, czy dyplomacja III-ej Rzeszy jest bardzo dumna z tego pociągnięcia, lecz dyplomacja polska może się śmiać w kułak i śmieje się. I niech nikt nam nie wmawia, że po dziesięciu latach Polska i Niemcy pogodzą się po zwrocie „korytarza" kosztem Rosji Sowieckiej czy też Litwy. To są banialuki i puste frazesy. Dziś nie kraje się już mapy Europy jak za czasów wielkiego Fryderyka.

Prawdą jest tylko to: Polska potrafiła skorzystać ze słabości hitleryzmu i definitywnie usadowiła się na Pomorzu i nad Bałtykiem. Jeżeli zadowoli się tym sukcesem i nie da się wciągnąć w niepewne i zgubne przygody, nikt nie będzie mógł powiedzieć, że źle zagrała.

„Le Figaro", Paryż.

WŁADYWOSTOK — MURMAŃSK

Z dziennika naczelnika ekspedycji „Litke"

27 czerwca. Władywostok. Jutro wyruszamy. Dziś zakończono ostatnie przygotowania. Wzięto na pokład samolot „III — 2". Lotnika Kukanowa i bort-mechanika Kukwa zabierzemy w zatoce Opatrzności. Maszyny i mechanizmy „Litke" wypróbowano. Po remoncie w Japonji pozostały poważne braki: nie wszystkie kotły wytrzymują ciśnienie robocze. Po raz ostatni zasięgam rady mechaników. Oświadczają, że przy stałym remoncie podczas wyprawy maszyny nie zawiodą.

Kadłub wywołuje poważne obawy: japońskie obszycie zrobione jest niedbale; są nawet dziury całkowicie niezałatane. Przy pierwszem starciu z poważniejszemi lodowcami będzie zaciekać. Ale zaciekania tego nie uważam za niebezpieczne: łamacz lodów zaopatrzony jest w potężne narzędzia do wylewania wody.

28 czerwca. Przed podniesieniem kotwicy po raz ostatni sprawdzam skład załogi. Ludzie są zdyscyplinowani, płoną pragnieniem walki o podbicie Arktyku. 40 procent załogi — to komuniści i komsomolcy. O 6-ej wieczorem oddaliśmy ostatnie saluty i przy okrzykach „hurra!" żegnających nas, wyruszyliśmy na otwarte morze.

4 lipca. Petropawłowsk. Mamy za sobą przebytych 1360 mil. Pochodowi naszemu przeszkadzały mgły, nawisłe nad morzami Japońskiem i Ochockiem. Pierwszy etap podróży wykorzystaliśmy na wytrenowanie załogi, przeprowadziliśmy próbne alarmy, rozwinęliśmy partyjne i techniczne ćwiczenia. W oddali rysuje się wyraziście sylwetka „Krasina", przybyłego na pomoc Czeluskinowcom. Spotkanie z Krasincami nosi charakter niezwykle serdeczny. Naładowanie węgla zakończyliśmy nie w 4 dni, jak przewidywał plan, ale w 2 dni.

12 lipca. Wczoraj przybyliśmy do zatoki Opatrzności. Zapasy węgla są bliskie wyczerpania. Zbliżyliśmy się do parostatku „Sergjusz Kirow" i rozpoczęliśmy o własnych siłach przeładowanie węgla. Prawie wszyscy naukowi pracownicy ekspedycji ładują węgiel narówno z robotnikami. Bunkierówkę zakończyliśmy w 40 godzin, zamiast w 5 dób.

14 lipca. Wstąpiliśmy na Morze Czuchockie. Robi się wyraźnie coraz chłodniej. Chwilami pada śnieg. Wiatr wzmacnia się, siecze twarze. Trafiają się pojedyncze niewielkie kry. „Litke", przeładowany węglem, wżera się w szalejące bałwany; woda pokrywa pół-bak i wartkiemi potokami biegnie po pokładzie.

Zbliżamy się do trawersu — do miejsca katastrofy „Czeluskina". Zorganizowaliśmy mityng w czerwonym kąciku. Po mojem krótkiem przemówieniu o Czeluskinowcach, „Litke" trzykrotnym gwizdem salutuje na pamiątkę bohaterskiej epopei.

Dziś rano tuż przy pokładzie zauważyliśmy białego niedźwiedzia. Mój zastępca Bronstein przyniósł dubeltówkę i postrzelił zwierzę za pierwszym wystrzałem.

15 lipca. Otaczają nas pola lodowe. „Litke" z mozołem wdziera się na krę i przełamuje jej 7-metrową grubość.

Kapitan Nikołajew oświadcza: „Łamanie lodów dalej jest bezcelowe; należy czekać na zmianę kierunku wiatru i poprawę sytuacji lodowej". Zatrzymujemy maszyny.

18 lipca. Ciągle jeszcze dmie mocny wiatr północno-zachodni (Nord-West), ściskający lody. „Litke" dreifuje z szybkością 15 mil na dobę w odwrotnym kierunku — na wschód. Wyczekiwać nadal zmiany pogody niema celu. Łączę się przez radjo z lotnikiem Farichem, znajdującym się na przylądku Schmidta. Proszę o wywiad o pozycji lodu. Donosi mi, że na północ od nas wody są całkowicie oczyszczone. Postanawiamy przebić się tam.

19 lipca. Puszczamy w ruch maszyny. Z wielkim trudem forsujemy lód. W ciągu 4 godzin przechodzimy odległość, równą zaledwo długości 2—3 kadłubów „Litke".

Spowodu silnych uderzeń o lód w przedniej części statku powstaje zaciek. Z niektórych zaklepek i szwów woda tryska, zapełniając szybko odcinek nosa okrętu. Po pewnym czasie pojawiła się woda w centralnej jamie węglowej.

Podczas następnych 4 godzin z olbrzymim trudem przebrnęliśmy pół mili Do czystej wody mamy jeszcze 10 mil!

20 lipca. Dziś nareszcie wybrnęliśmy na czystą wodę. Wkrótce znowu napotkaliśmy lody.

21 lipca. Po południu wzniosłem się z lotnikiem Kukanowym. Przelecieliśmy około 100 mil, czystej wody nie napotkaliśmy. W drodze powrotnej spowodu mgły nie mogliśmy żadną miarą odnaleźć „Litke". Polecieliśmy na przylądek Schmidta, aby uzupełnić zapasy benzyny i połączyć się przez radjo z łamaczem lodów. Z przylądka Schmidta wystartowaliśmy późno wieczorem, ale znowu nie odkryliśmy „Litke". Zmuszeni byliśmy spuścić się w Wankaremie. Na nasze szczęście znalazł się tutaj samolot Babuszkina; wzięliśmy z jego baków benzynę i polecieliśmy spowrotem na przylądek Schmidta.



Moskwa widziana z strony nowej kolejki podziemnej

W ogólnej sumie krążyliśmy przez dwie prawie doby i obejrzeliśmy ogromną przestrzeń wokół łamacza lodów. Nie udało nam się znaleźć wolnej od lodów wody, ale w każdym razie ustaliliśmy kierunek największego rozrzedzenia kry.

24 lipca. Rankiem znowu ugrzęźliśmy. Jak przedtem wieje nieustannie Nord-West, który skupia wokół nas lody. Synoptyk Radwiłowicz oznajmia nam radosną nowinę: za parę godzin wiatr się zmieni. Przepowiednie Radwiłowicza zwykle się sprawdzają. Istotnie po upływie dwóch godzin zadął słaby South-West. Lody poczęły się rozrzedzać, „Litke" popłynął naprzód.

Na lodołamaczu trwa napięta praca. Część naukowa ekspedycji — prof. Wire, hydrolog Berezkin, hydrobiolog Bogorow i profesor chemji Kondyrow z wielkim zapałem wszechstronnie badają niezbadane dotąd zupełnie morza wschodnio-syberyjskie i Łaptiewych.

12 sierpnia. Dopływamy do wysp Samuela. Przed nami — gęsta mgła. Około wysp napotkaliśmy nieprzerwaną, wieloletnią powłokę lodową. Nie bacząc na nasze czołowe cosy w pełnym biegu, pole lodowe pozostaje nienaruszone. Niespodziewanie mgła rozwiała się Wprost przed nosem „Litke" w odległości 6 mil ujrzeliśmy trzy parostatki sowieckie; są to statki ekspedycji Leńskiej, które tu przezimowały. Przypada nam zadanie uwolnienia ich z więzów lodowych. Parostatki również zauważyły nas i poczęły wyrażać nam przez radjo obawy swoje, że nie przebijemy się przez lód. Niepokój próżny: nikt z nas nie myśli o odstąpieniu od zadania.

17 sierpnia. Przez 5 dób bezustanku przebijaliśmy lód. Dziś nad ranem dzieli nas już tylko jedna mila od parostatków. W ciągu 5 dób przeszliśmy 5 mil. Ostatnią milę forsowaliśmy przy orkanie 7-ball'owym.

Dziś zrana podeszliśmy do statków. Załogi uszykowały się na górnym pokładzie i spotkały nas donośnem „hurra" i strzelaniną z karabinów na powitanie. Po 10 minutach dano rozkaz karawanie, aby szła naszym śladem, a po 2 godzinach wyprowadziliśmy wszystkie statki na otwarte wody. Dopiero teraz mogliśmy spuścić nurka, aby obejrzał stan kadłuba.

5-dniowy bój z lodami kosztował nas drogo. Przód „Litke", sklecony w japońskich dokach z trzech części i sfabrykowany ze starej, zużytej stali, rozluźnił się w zamkach (szwach). Strata taka na łamaczu lodów równoznaczna jest ze złamaniem śmigła w samolocie. Iść dalej poprzez lody niepodobna. Na odbytej naradzie postanowiono dokonać remontu na miejscu, o własnych siłach.

18-20 sierpnia. Załoga maszynowa pod kierownictwem starego mechanika Pirożkowa przystąpiła do naprawy uszkodzeń. Pirożkow nietylko bez przerwy znajduje się na łodzie i nietylko wydaje zarządzenia, ale własnoręcznie pomaga przy zabijaniu nitów. Drugi mechanik Gejsler, w ciągu jednej doby wytoczył 10 nowych śrub. Pompolit (pomocnik polityczny), Szczerbina, miesi z brygadą majtków cement do zalania forsteavena. Trzeba zalać odcinek nosowy, wynoszący 13 tonn.

Doskonałe zgranie się w pracy kolektywu, umożliwia nam zakończenie remontu w ciągu dwóch dni. Pełni trwogi wypróbowujemy jakość remontu. Okręt rozbija lód! Możemy śmiało iść naprzód.

23-24 sierpnia. Przylądek Czeluskin. Rozpoczynamy razem z „Jermakiem" przeprowadzanie karawany drugiej ekspedycji na Lenę w składzie 4 okrętów. Naczelnik ekspedycji Orłowski prosi nas, abyśmy przyholowali parostatek „Partyzant Szczetinkin". Parostatek ten posiada cienkie obszycie i ma dziurę. Udajemy się do „Szczetinkina", bierzemy go na linę holowniczą i wyciągamy na lód. Kapitan Nikołajew osobiście kieruje wyprowadzką, nie opuszczając mostka. Ja i Szczerbina dyżurujemy na tylnym pokładzie. Do rana przeprowadzka zostaje ukończona pomyślnie. „Szczetinkin" bez żadnego uszkodzenia zostaje wyprowadzony na czyste wody.

Po zakończeniu tej roboty odwiedziliśmy przylądek Czeluskina, obejrzeliśmy nowe budownictwo. Praca wre tu. Naczelnik stacji Papanin zaraża wszystkich swoim entuzjazmem. Podzieliliśmy się swojemi zapasami z ludnością przylądka Czeluskin, daliśmy im kilka świń, barana, krowę i produkty żywnościowe.

25 sierpnia. Wczoraj wpłynęliśmy na morze Karskie. Zdążamy do wyspy Dicksona. Zadaniem naszem jest zabezpieczyć przejście okrętom Ekspedycji Karskiej z rejonu Jugorskiej Kuli do Jeniseju i spowrotem. Przy archipelagu Nordenskiölda natknęliśmy się na ciężkie lody. Śladem naszym zdąża zwolniony przez nas u wysp Samuela parostatek „Stalin".

2 września. Z wielkim trudem, zwolna posuwaliśmy się naprzód, od czasu do czasu nadługo grzęznąc śród lodowców. Za wyspami Scott-Hansena wyszliśmy na otwarte wody i dzisiaj stanęliśmy u celu.

8—10 września. Wzięliśmy na wyspie Dicksona pełny ładunek węgla i udaliśmy się po słodką wodę do ujścia Jeniseju. Tu dochodzi nas wieść, że u przylądka „Sopocznaja Karga" osiadł na mieliźnie parostatek angielski „Marklin". Próby „Stalina" wyciągnięcia go z mielizny nie dały rezultatu. Postanowiliśmy przeładować część transportu drzewa z „Marklina" na parostatek „Stalin" i pośpieszyliśmy sami z pomocą.

Płynęliśmy z wielką ostrożnością, obawiając się mielizn. Podeszliśmy do „Marklina". Głębokość — 4 sążnie. Wyprawiliśmy na okrętowej szalupce nurka, aby zbadał uszkodzenia „Marklina". 10 września późną nocą zaczęliśmy holować „Marklina". Ściągnęliśmy go z mielizny w ciągu 20 minut.

10 września. O świcie załoga nasza przeładowała napowrót drwa ze „Stalina" na „Marklin" i popłynęliśmy znowu do Dicksona, mając za sobą „Marklina".

16 września. Dziś przybyliśmy do Jugorskiej Kuli („Jugorskij Szar"). Załoga zajęła się uporządkowaniem statku. Maszynowa załoga i palacze gorliwie czyszczą maszyny, malują pewne części i t. p. Komenda pokładu myje burt, maszty, szalupki. Nastrój podniecony. Jutro udajemy się do Murmańska. Przygotowujemy raport dla partji i rządu o ukończeniu wyprawy.

20 września. O 3-ej godzinie popołudniu weszliśmy do zatoki Kolskiej. Nadaliśmy motorom pełny pęd. Ukazały się przystrojone sztandarami okręty floty północnej, które wyszły z przystani, aby nas powitać — między innemi słynny „Perseusz", oraz łodzie rybackie. Salutują dudnieniem i gwizdkami, puszczają rakiety. Załogi okrętów za zbliżeniem do nas krzyczą: „hurra!"

Wchodzą na pokład „Litke" przedstawiciele Murmańska z orkiestrami. Muzyka. Niezapomniane spotkanie radosne!

Pierwsza w historji przeprawa przez lody ze wschodu na zachód, zakończona w jednym kursie nawigacyjnym!

Murmańsk.

„Prawda" Nr. 269, Moskwa.

Walka o bezpieczeństwo na ulicach i szosach

Nowy minister komunikacji jest przedmiotem ataków prasy ze względu na popularność, jaką zdołał sobie zyskać. „Fotografuje się na przejściach dla pieszych w pozie Napoleona! wołają. Dokonywa inspekcyj w towarzystwie armji urzędników i fotografów! śmieją się. I tak dalej.

Krytyka ta pragnie zapewne dowieść, że głównem zainteresowaniem mr. Hore Belisha jest pan Hore Belisha, że minister stara się przedewszystkiem o spopularyzowanie postaci... pana Hore Belisha. Ale należałoby się spytać może, czy jeżeli jest nawet prawdą co pisze prasa, czy to komukolwiek szkodzi?

CZEGO DOKONAŁ

Ludzie, którzy nie interesują się tem, co robią (a co za tem idzie i samymi sobą) przeważnie są ludźmi bez wartości. Przez należyte wypełnianie swoich obowiązków jako minister komunikacji, pan Hore Belisha może utorować sobie drogę do większego stanowiska i szerszej sfery działania. Jeżeli stanie się tak kiedyś, wszyscy, którzy obecnie korzystają z jego zarządzeń napewno powinszują mu bardzo serdecznie, ponieważ dobrze się im zasłużył.

Nowy minister komunikacji p. Leslie Hore Belisha, nareszcie zwrócił uwagę na to, co jest do zrobienia. Jest to samo w sobie, poważne osiągnięcie. Dawniej, oficjalne i nieoficjalne raporty, czy zalecenia komendanta policji ruchu, czy jednostronne skargi różnych organizacyj właścicieli samochodów, motocyklów i przechodniów wraz z opinją sympatycznego ministra komunikacji, który niestety nie zetknął się nigdy w praktyce z zagadnieniem drogowem, potrafiły zdziałać bardzo niewiele i tylko budziły niezadowolenie w kołach ludzi kompetentnych.

HAŁAS NOCNY

P. Hore Belisha usunął ryki syren podczas godzin snu. Zarządzenie doskonałe. Dlaczego nikt o tem wcześniej nie pomyślał? Są i tacy oczywiście, którzy twierdzą, że to nie jest bezpieczne. Ale wypadek jest zawsze zrządzeniem boskiem. Zderzenia samochodów w 998.000 wypadkach na miljon są wynikiem czyjejś nieuwagi lub głupoty. Możemy zamiast syren używać świateł; nocą są one skuteczniejsze od syreny czy trąbki. Zakaz hałasów w nocy pozwoli łatwiej natrafić na nieostrożnych kierowców i spowodować odebranie im prawa jazdy. Za to p. Hore Belisha należy podziękować.

PRZEWAGA PIESZYCH

W tej sprawie minister dokonał tylko części tego, co powinien. Regulacja ruchu ulicznego w stanie obecnym jest zła. Skrzyżowania ulic, zwłaszcza w zachodniej części Londynu są często zablokowane. Problem wygląda tak: przechodnie uliczni mają zupełne prawo do własnych przejść przez ulicę; niektóre z tych przejść są zbyt blisko siebie. Co więcej, przechodnie mogą przechodzić przez ulicę w innych miejscach i nie muszą podporządkowywać się sygnałom automatycznym. Innemi słowy, jedna grupa uczestników ruchu ulicznego ma nad innemi przewagę, i jest słusznie zresztą, lepiej chroniona. Obecnie samochód, wóz czy rower muszą zatrzymywać się na dany przez policjanta sygnał automatyczny czy znak, i zwalniać czy zatrzymywać się przy każdem przejściu dla pieszych; podczas gdy pieszych nie może zatrzymać nic poza dobrą wolą czy ostrożnością; a tych cech nierzadko brak wielu ludziom.

Jaki jest skutek? Ruch jest wstrzymywany w stopniu niepożądanym zarówno dla ludzi zajętych, jak i goniących za przyjemnością, a bezpieczeństwo pieszych nie jest całkowicie zapewnione. Zadaniem ministra jest uregulować i tę stronę ruchu ulicznego: zabronić przechodzenia przez jezdnię w miejscach nie przeznaczonych specjalnie na ten cel, tak samo, jak zabrania się wozom jazdy po chodnikach.

Dalej, zdrowy rozsądek nakazuje, żeby wszyscy na ulicy słuchali się tych samych sygnałów. Na co się przyda powstrzymanie sznura wehikułów, płynących nieprzerwanym strumieniem przez 24 godziny ulicznego ruchu, kiedy tłum pieszych rozbija wszelkie obliczenia, pojawiając się bezmyślnie za każdem czerwonem światłem?

P. Hore Belisha może uporządkować raz na zawsze ulice we wszystkich miastach Anglji i doprowadzić je do stanu bezpieczeństwa, jaki



Wystawa samochodów w Londynie.

nigdy przedtem na nich nie panował. Możliwe, że przeklinać go będą wszyscy starzy clubmeni, ale błogosławić będą angielskie matki. Przepracowani lekarze w szpitalach wspomną go życzliwie, mimo że polityczni przyjaciele napewno będą krytykować.

DROGI SAMOCHODOWE

P. Hore Belisha wspominał już o szosach i chce, aby i na tem polu dokonać ulepszeń. Znowu ma słuszność. Nasze, w ostatnich latach zbudowane szosy mają zadziwiające małe pole widzenia, ponieważ pozwolono wzdłuż nich budować sznury domów. Raz po raz zaczynano budować autostrady a powstawały typowe arterje miejskie. Wydano miljony, niekoniecznie w najlepszy sposób. To też niełatwo będzie nowemu ministrowi uzyskać owe kredyty bez poważnych sprzeciwów. Ale jeżeli ich zażąda, będzie miał rację.

Nie powinniśmy więcej popełniać kosztownych omyłek. Szosy zbudowane teraz muszą służyć przynajmniej do roku 1954. Hiszpanja, którą uważamy za cofniętą w rozwoju, już osiem lat temu budowała odcinki szos, na których nie spotykają się pojazdy jadące w przeciwnych kierunkach i gdzie piesi i cykliści mają specjalne ścieżki. U nas dopiero teraz naradzają się nad tego rodzaju szosami w ministerstwie i na policji i to tak, jakby to był nowy pomysł.

Jest to dla Anglji typowe. Raz na dziesięć lat wietrzymy nasze przestarzałe poglądy i musimy uczyć się tego, co przez ten czas zdążyły robić inne narody. Ale raz przynajmniej mamy ministra, który dąży do reform. P. Hore Belisha powinien przeprowadzać swój plan. Żyjemy w wieku mechaniki i wszyscy ministrowie, muszą starać się patrzeć w przyszłość — zwłaszcza zaś ministrowie komunikacji i lotnictwa.

P. Hore Belisha powinien wykorzystać wszystkie środki nowoczesnej reklamy: prasę, kino czy radjo. Należy mu przypomnieć, że największych zadań dokonywały zawsze jednostki. Początek jego urzędowania jest bardzo obiecujący i wszyscy, którzy rozumieją jego staranie o zwiększenie bezpieczeństwa na ulicach miast czy na szosach, szczerze życzą mu powodzenia.

„The Outlook“ Londyn

Anglja bliska nasycenia samochodami

Hasłem przemysłu samochodowego na rok 1935 zdaje się być: „Coraz więcej samochodów!“

Program produkcji na rok 1935 obliczony jest na wielką skalę. Przemysłowcy nigdy dotąd nie byli tak optymistyczni. Podane do wiadomości cyfry wykazują, że, jeżeli plan będzie wykonany w całej rozciągłości, liczba samochodów w Anglji powiększy się w dwójnasób. Będzie to ciężki problem dla ruchu ulicznego i drogowego. Anglja jest małym krajem. Ilość mil kwadratowych przeznaczonych na szosy jest ograniczona. Wkrótce trzeba się będzie zastanowić nad tem, co się stanie, jeżeli osiągnięty zostanie punkt nasycenia.

W Stanach Zjednoczonych wiek auta jest krótszy, niż w Anglji. Stare wozy szybciej ustępują miejsca nowym. W chwili obecnej mamy około półtora miljona prywatnych wozów w ruchu — a wozy angielskie są trwałe. Co się stanie potem z autami na zatłoczonych drogach? Przemysł samochodowy nie umie na to odpowiedzieć. Robi się plany produkcji na rok 1935, ale odpowiedzi na to pytanie znaleźć nie można.

Nowe samochody mogą rozwinąć wielką szybkość. Dlatego też ulepszono drogi i nawierzchnie szosowe. Być może, że temsamem zmniejszy się bezpieczeństwo, w każdym zaś razie na drogach będzie coraz mniej miejsca. Wozy szybsze prędzej będą się mogły wydostawać z miejsc natłoczonych i to, jak twierdzą niektórzy, przyczyni się do zmniejszenia natłoku na szosach. Nie można jednak będzie wycofać odrazu wszystkich wozów starego typu. W ten sposób szosy długo jeszcze będą natłoczone.

Przemysł samochodowy rozkwita nanowo. W fabrykach Austina zamówienia do tej chwili przewyższają o 59% zamówienia zeszłoroczne w tym samym czasie. W zakładach Cowley'a pracuje 4.300 robotników, a u Morris'a o 1000 osób więcej niż w roku ubiegłym.

Co stanie się, jeżeli w roku 1935 wszystkie te samochody zaleją nasze szosy?

Pytanie jest dość skomplikowane. Anglja ma ludności około 44.500.000. Powierzchnia kraju wynosi 95.030 mil kwadratowych, poprzecinanych szosami. Oczywista rzecz, że wraz ze zwiększeniem szybkości samochodów auta zaczną pokrywać większe przestrzenie; w ten sposób wraz ze zwiększeniem się liczby samochodów pokryta będzie proporcjonalnie większa ilość dróg. Co wtedy?

Znawca ruchu kołowego odpowie na to, że w Stanach Zjednoczonych na pięć osób wypada jedno auto, a w Anglji jedno na dwadzieścia dziewięć głów. Problem jest zatem pięć razy mniej ostry u nas, niż w Ameryce, a tam jednak dają sobie jakoś radę.

Odpowiedź ta nie wyczerpuje kwestji. Stany Zjednoczone mają obszar trzydzieści osiem razy większy niż Anglja. W Anglji jeden automobilista wypada na 40 akrów obszaru, w Stanach Zjednoczonych na 85 akrów. W Ameryce zatem sytuacja jest dwa razy lepsza, mimo że jest dwadzieścia razy więcej samochodów. Czterdzieści akrów wydaje się bardzo dużo, ale nie wliczono do tej statystyki wozów ciężarowych i innych wehikułów na szosach.

Kiedyś w przyszłości — bliskiej czy dalekiej — osiągnięty będzie jakiś punkt nasycenia. Rok 1935, jako rok wielkiej ilości aut, da nam pewne wskazówki jak odległy jest ten punkt.

Szczęściem jest tylko, że wraz z ilością samochodów wzrasta ich szybkość. Wkrótce jednak obecne hasło przekształci się w inne: „Budujmy coraz więcej szos!“

„The Passing Show“, Londyn.

Wiedeń walczy z hałasem ulicznym

Poza wprowadzeniem zakazu korzystania w nocy z syren samochodowych, który niebawem ma wejść w życie, główna komenda policji związkowej stara się przedsięwziąć jeszcze inne energiczne kroki przeciw tej pladze wielkomiejskiej, jaką jest hałas uliczny. By osiągnąć ten cel, należy przedewszystkiem zbadać zapomocą odpowiednich obliczeń, gdzie tkwią źródła tego hałasu.

APARATY DO OBLICZANIA NATĘŻENIA HAŁASU

Już od dłuższego czasu są w użyciu aparaty do mierzenia natężenia hałasu. Były one jednak zależne od czułości ucha prowadzącego badania.

Obecnie jest w użyciu nowy aparat. Jest on podobny w budowie do trzylampowego aparatu radjowego. Urządzenie mikrofonowe przejmuje dźwięk i przenosi go na wskazówkę, która się obraca dokoła osi i wyznacza na tarczy siłę dźwięku. Na tarczy rozmieszczone są w równych odstępach cyfry od 0 do 20. Dzięki temu aparatowi osiąga się wyjątkową dokładność w obliczeniach. Z tym przyrządem można również połączyć oscylograf, zapomocą którego otrzymuje się na papierowej taśmie ciągły wykaz natężenia hałasu.

TRUDNOŚCI PRZY USTALENIU GRANICY

Dotychczasowe badania szły przedewszystkiem tą drogą, by ustalić granicę hałasu, jaki można czynić w mieście. Otrzymuje się jednak zupełnie inne wyniki, gdy się przeprowadza badania na wolnem powietrzu, czy też w zamkniętej przestrzeni. Zdarzają się również wypadki, że natężenie hałasu nie jest wielkie, a mimo to jest bardzo przykre dla ucha ludzkiego, weźmy dla przykładu chociażby różnego rodzaju skrzypnięcia.

Wśród „roznosicieli“ hałasu samochody nie zawsze są najgorsze. Dowiedziono, że wóz od mleka, z żelaznemi obręczami, naładowany próżnemi bańkami i poruszający się po bruku z kostki kamiennej, wydaje najwięcej hałasu. Zwykły gwar uliczny, jaki czynią rozmawiający przechodnie, oblicza się na 50 fonów. Wozy prywatne wydają od 60 do 65 fonów, motocykle od 70 do 80, a autobusy od 70 do 85 fonów.

Próby z nowemi aparatami, obliczającemi hałas uliczny, mają niebawem dobiec do końca. Na podstawie tych doświadczeń wydział ruchu kołowego komendy policji ustali granicę fonów, jaka będzie dozwolona do osiągnięcia w mieście. Najwyższa granica będzie prawdopodobnie ustalona na 85 lub 90 fonów.

„Neue Freie Presse“, Wiedeń.

Układy kompensacyjne

Naśladownictwo handlu wymiennego papuasów

Plemię murzyńskie przybija do pobliskiego wybrzeża i wyładowuje zawartość łodzi — kilka centnarów orzechów kokosowych, które obficie rodzą się na jego wyspie, i odjeżdża spowrotem.

Na lądzie stałym znajdują się liczne stada słoni. Mieszkańcy wybrzeża zajmują się od lat polowaniem na słonie. W nocy przybywają oni na miejsce, gdzie wyspiarze złożyli orzechy, zabierają je i kładą wzamian kość słoniową, używaną do wyrobu broni i ozdób.

Następnego dnia przybywają mieszkańcy wyspy i zabierają kość słoniową.

Ta wymiana trwa już od lat i stale opiera się na tym samym układzie: za sto orzechów kokosowych otrzymuje się jeden kieł słoniowy.

Przypominamy sobie dziś ten opis prymitywnych metod wymiany w związku z próbą wprowadzenia jej do współczesnego handlu światowego. Trzecia Rzesza jest propagatorką tych prymitywnych metod murzyńskich, które zachwala jako najwyższy wyraz mądrości, jako jedyne rozwiązanie w obecnych czasach.

Ten handel nazywa się tylko inaczej. Mianuje się go „układami kompensacyjnemi"...

„Wyrazy „układy kompensacyjne" są obecnie hasłem dnia, które znajdują się na ustach wszystkich", pisze „Deutsche Bergwerkszeitung". Hasło to mogło tylko powstać w zanarchizowanem, gospodarczo całkowicie zrujnowanem państwie, jakiem są obecne Niemcy.

Trzecia Rzesza kupowała surowce dla przemysłu zbrojeniowego, zapominając zupełnie o swym eksporcie. Gdy nie stało już wpływów na opłacenie importu, musiano naruszyć podstawy, ostatni zasób pieniędzy: rezerwy złota i dewiz Banku Rzeszy. Wreszcie i te zasoby zaczęły topnieć — zaprzepaszczono prawie dwie trzecie rezerw Banku Rzeszy, które Trzecia Rzesza przejęła od poprzednich rządów. By uniknąć katastrofy, wprowadzono surowy zakaz wywozu dewiz zagranicę. Lecz niewiele już dewiz pozostało w kraju, by można było nadal kupować zagraniczne surowce. Spróbowano więc metody wymiennej, chcąc mieć możność sprowadzania surowców z zagranicy bez udziału dewiz.

CZY KUPIEC OSIĄGNIE ZYSKI?

Przy systemie układów kompensacyjnych kupiec będzie narażony na wiele kłopotów i kosztów, związanych ze znalezieniem chętnych do wymiany.

Przy takich interesach muszą istnieć pośrednicy, pobierający wysoką prowizję. W „Frankfurter Zeitung", która prowadzi szeroko zakrojoną propagandę na rzecz układów kompensacyjnych, rzucają się w oczy zachęcające propozycje tych pośredników. Gdyby nawet tylko niemieccy pośrednicy zajęli się wyszukiwaniem chętnych na tego rodzaju tranzakcje, to wyłącznie wielkie firmy mogłyby prowadzić takie interesy. Małe i średnie przedsiębiorstwa, które są podporą niemieckiego życia gospodarczego, nie mogą brać udziału w tych kosztownych, skomplikowanych i mało dochodowych przedsięwzięciach. Pozatem ten handel wymienny byłby jeszcze utrudniony przez urzędy dewizowe, które żądają zezwoleń na wwóz, kwitów przejęcia i t. d.

Prymitywne szczepy murzyńskie przybijają do najbliższego wybrzeża i składają tam swój towar, który zabierają odbiorcy. Trzecia Rzesza utrudnia nawet i tę metodę. Obsadza każdy szlak wymienny kontrolą oraz gąszczem przeszkód dewizowych.

Ryzykowny i skomplikowany charakter tego rodzaju tranzakcyj napewno nie jest przynętą dla zagranicznego odbiorcy, i nie podniesie eksportu niemieckiego. Podnieść zbyt towarów niemieckich mogą tylko niskie ceny i dobra jakość wyrobów, a nie utrudnienia związane z układami kompensacyjnemi.

Z drugiej strony wielką groźbą dla tego rodzaju układów jest ujednostajnienie rozrachunków walutowych. Wartość bowiem gumy holenderskiej oraz wartość niemieckich maszyn, zabawek i piwa musi być ustalona w markach, lub guldenach po obowiązującym w danej chwili kursie dewizowym. Jeśli zaś w układach kompensacyjnych formalnie nie bierze się pod uwagę dewiz, lecz bezpośrednio towary, handel zagraniczny w niczem się nie poprawi, gdyż za nadwyżkę dewizową uzyskiwaną dzięki eksportowi, Niemcy otrzymują towary. Eksport nie wzrośnie, a ilość dewiz i towarów nie podniesie się.

Układy kompensacyjne są więc niczem innem jak prymitywną, nierokującą nadziei formą obrotu handlowego, która w Europie znikła już od tysiąca lat, to jest od chwili wprowadzenia obrotu handlowego opartego na pieniądzu. Trzecia Rzesza zaś zmarnowała dewizy, materjał pędny współczesnej machiny gospodarczej, nadużywając je dla celów militarnych. A obecnie ta maszyna, która dawała chleb i pracę 60-ciomiljonowej ludności musi być poruszana zapomocą rąk — układów kompensacyjnych. *„Westland", Saarbruecken.*

NA PODWÓRZU SOWIECKIEM



Dozorca moskiewski: Do licha z tym „konkursem czystości podwórek". Już trzeci dzień staram się znaleźć miotłę, i nic z tego... *„Krokodił", Moskwa.*

PARADOKSALNA SYTUACJA HANDLU WYMIENNEGO

Czy „rozwiązanie" kompensacyjne da jakieś wyniki? Jeśli dwa kraje zawierają umowę kompensacyjną na jeden gatunek towaru, wymiana ma jeszcze jakąś rację bytu, i to tylko przy małych ilościowo tranzakcjach. Np. niemieckie lokomotywy mogą być zamieniane na kawę brazylijską.

Lecz im bardziej układy kompensacyjne rozszerzą się, im bardziej wyrugują handel dewizowy, tem mniejsza staje się możliwość ich zastosowania.

Niemcy chcą otrzymać od krajów zamorskich surowce, a wzamian chcą dostarczać gotowych wyrobów. Jakby to wyglądało w praktyce?

W handlu ze Sjamem stosunek tak się układa, że za każdy produkt sjamski Niemcy płacą swemi 12-oma wyrobami. Gdyby się nawet udało 90% tranzakcyj ze Sjamem przeprowadzić w ten sposób, że na każdy sortyment niemiecki przypadałby jeden sjamski, to dla pozostałych 10% byłby wymagany stosunek 1:114. Czyli że za każdy produkt sjamski Niemcy musiałyby płacić 114-oma swemi produktami. Słowem tego rodzaju interesy nie mogą być wogóle brane w rachubę, ponieważ koszty wywozu pochłonęłyby wszystko.

Oto jeden z powodów, dla którego układy kompensacyjne zwężą jeszcze bardziej bilans handlowy Niemiec, zamiast go rozszerzyć, jak tego pragną kierownicy Trzeciej Rzeszy.

Drugi powód — Niemcy nie mają wyrównanego obrotu handlowego z żadnem państwem. Niemcy nie kupują u żadnego państwa za tyle, za ile sprzedają. U wszystkich państw, które pozostają w stosunkach handlowych z Niemcami — a w większości są to państwa, dostarczające surowców — musi pozostać pewna część towarów, którą nie obejmą układy kompensacyjne. W ten sposób handel zagraniczny Niemiec skurczyłby się jeszcze bardziej.

TRAGEDJA NADMIERNEGO POŁOWU ŚLEDZI

Sześć tysięcy tonn najlepszych śledzi, jakie morze wydaje, rzucono na brzeg. Dwa tysiące tonn tego połowu ma się spowrotem wyrzucić do wody.

Tymczasem na ulicach Yarmouth (głównego portu rybackiego dla połowu śledzi) kobiety omijają stragany sprzedawców, nie chcąc płacić po pensie za rybę, podczas gdy w porcie można dostać ich dziesięć za tę samą cenę.

Taka jest sytuacja, na którą złożyły się siły naturalne i ludzkie, a których rezultatem jest, że floty rybackie wracają z własnej woli napwół próżne z połowów, że w najpełniejszym sezonie połowów, od którego zależy całoroczne utrzymanie tych rybaków, przy niesłychanej obfitości połowów, żony ich muszą prosić o zasiłki z funduszów publicznych.

Kiedy flotylle wracały z połowów, kupcy na wybrzeżu nie potrzebowali nawet części tego, co rybacy przywieźli. Las kominów sterczał aż po krańce horyzontu. Nieustannie niezliczone kosze wysypują błyszczące skarby, które za kilka godzin nie będą już miały żadnej wartości. Pójdą na nawóz dla pól, albo spotka je jeszcze smutniejszy los.

Sezon śledziowy w r. 1934 jest tak obfity, że wystarczy na zaopatrzenie Anglji, krajów śródziemnomorskich i baltyckich.

Tymczasem rynek rosyjski, niegdyś tak dochodowy, jest narazie zamknięty, rynek niemiecki nie jest wprawdzie zamknięty, ale niewielka jest z tego pociecha, skoro ewentualni kupcy nie będą mogli zapłacić. Puszczono w ruch wszystkie możliwe sposoby, w celu zrównoważenia hojności natury, która użycza swoich darów obficiej, niż kiedykolwiek. Ostatni sezon połowu śledzi jest najbardziej katastrofalny w tej kawalkadzie nieszczęść, jakie spadły na gospodarkę angielską w ostatnich latach.

W ubiegłym roku płacono za śledzie w Yarmouth po 24 szylingi za 1000 sztuk, dziś płacić się 15, 12, a nawet 8 szylingów za tysiąc, zależnie od wielkości i od tego, na co się te śledzie przeznacza.

Co to oznacza w skutkach dla rybaków?

By móc pokryć przeciętne koszty połowu i coś jeszcze zarobić, muszą ci rybacy brać najmniej po 23 szylingi za 1000 sztuk. Wobec dzisiejszych katastrofalnych cen, ludzie ci stają przed widmem głodu i nędzy podczas nadchodzącej zimy.

Ale nie na tem koniec. Katastrofa ta rośnie, jak kula śnieżna. Kiedy rybacy nie mają pieniędzy, psują się interesy kupców i właścicieli sklepów, sprzedawcy sieci nie mają roboty, a ci, którzy zakupowują śledzie od rybaków, też przy takim sezonie dużo zarobić nie potrafią. *„The Morning Post", Londyn.*

TRAGEDJA PSZENICY

Francuzi jadają piękny biały chleb pszenny. Dawniej chleb ten był tak tani, że wypiekano go w długich metrowych strucłach, z których odłamywano potem dowolną ilość kromek. Teraz jednak chleb podrożał. Dlaczego? Dlatego, że we Francji znajduje się więcej pszenicy, niż naród francuski potrafi skonsumować.

Mniej więcej dziesięć lat temu wydano ustawę zbożową i ustawę o młynach i przemiale zboża, oraz ustanowiono ceny minimalne, poniżej których nie wolno było pszenicy sprzedawać. Była to akcja na rzecz rolnictwa.

Miasta musiały płacić drogo za chleb.

W roku 1933 urodzaj był rekordowy. Chłopi porobili w cieniu ustawy zbożowej świetne interesy i zachęceni tem obsiali w 1934 większe obszary. Następstwem tego jest, że Francja posiada, nawet w obecnym roku posuchy, znaczny nadmiar pszenicy. Do tego przyczynia się znowu rekordowy urodzaj w kolonjach Afryki północnej. Ale co zrobić z takiemi masami pszenicy? Ponieważ nie można nią dosyta nakarmić swoich własnych obywateli, trzeba pomóc gospodarce światowej.

Dzięki premjom eksportowym, które rząd francuski wypłaca eksporterom, anglicy mogą kupować w portach francuskich pszenicę po 18 szylingów za tonnę, w Paryżu zaś francuska pszenica kosztuje 65 szylingów za tonnę. Na takiej podstawie Francja w roku bieżącym sprzedała do Anglji, Niemiec, Danji i Włoch 230,000 tonn pszenicy. Prawie taka sama ilość ma wkrótce być wywieziona. „Corn Exchange" w Londynie obliczyła, że ta tranzakcja kosztuje naród francuski pięć do sześciu miljonów funtów szterlingów.

Gdybyż przynajmniej masy kupujące dostawały pszenicę po tanich cenach. Tymczasem po zapłaceniu ceł, po uregulowaniu wszystkich kosztów i nabyciu dewiz, chleb w Anglji kosztuje tak samo drogo, jak we Francji.

Wiadomo, co z tego wszystkiego wynika, ale trzeba to wciąż przypominać. W roku 1933 zniszczono radykalnie 570,000 wagonów pszenicy, a dalszych 420,000 wagonów spalono. Pozatem zniszczono 140,000 wagonów ryżu, 267.000 worków kawy, 26 miljonów kilogramów konserwowanego mięsa, i tak ta litanja ciągnie się dalej: cukier, ryby, mleko, bydło, wełna i bawełna.

A równocześnie „Komitet Niesienia pomocy ofiarom kryzysu" stwierdził że w tym samym roku 1933 — 2,400,000 ludzi zginęło na świecie z głodu; a 1,200.000 targnęło na życie z nędzy i braku chleba. *„Europeische Hefte", Praga.*

Wężowisko bałkańskiej

WSPÓŁDZIAŁANIE USTASZI I YMRO

Śledztwo pozwoliło dokładnie ustalić personalja królobójcy marsylskiego.

Ten, który posiadał paszport wystawiony na nazwisko Kelemena i znany był wśród swych wspólników jako Suk, nazywał się naprawdę Georgujew lub Władimir Tczernozemski. Urodził się w Cztipie, który uchodzi za kolebkę najbardziej fanatycznych zwolenników YMRO. Także Michaiłow, lub Mały Vantcze, kierownik YMRO i protektor chorwackiej Ustaszi, jest dzieckiem Cztipu.

Michaiłow jest doskonałym celem dla przeciwników YMRO, a tych jest wielu. Liczy on obecnie 40 lat. Ci, którzy znają pogmatwane stosunki w Macedonji i wiedzą, że nigdy niewiadomo, co może stamtąd za chwilę wyskoczyć, zgodzą się ze mną, że los był dotychczas bardzo łaskawy dla małego Vantczy. Posiadając mniej szczęścia, byłby już dawno zabity. Nie wydaje się możliwe, by umarł śmiercią naturalną. Spewnością są już dla niego przygotowane kule.

Vantcze wie dobrze, co go czeka. Przed trzema laty na Bunardżik Tepe w Filippopoli oświadczył mi:

— Zabito mego ojca, zabito również mego brata. Przeciwnicy śledzą mnie. Jeśli dotychczas nie dosięgli mnie, to tylko dlatego, że jestem silniejszy od nich. Zresztą to wszystko jest bez znaczenia. Spójrz pan na nasz czerwono-czarny sztandar. Jest na nim, pod dewizą YMRO „Wolność lub śmierć", napis, który stanowi niejako credo komitadżów macedońskich: kto ofiaruje swe życie za wolność, ten nie umiera!

Czy dla Michaiłowa życie niema znaczenia? Vantcze żyje jakby życiem schwytanem w locie, — świadczą o tem liczne blizny — lecz tego życia trzyma się on kurczowo. Dniem i nocą pilnują go zaufani „opiekunowie", których marynarka na wysokości bioder posiada podwójne i wiele dające do myślenia zaokrąglenie. Jego samochód jest opancerzony ze wszystkich stron, a gdy czasem raczy on przespacerować się nieco po bulwarze Dondukowa w Sofji, robi to w otoczeniu piętnastu zuchów, uformowanych w rodzaj wachlarza. Ręce trzymają oni w kieszeniach, gdzie mają automatyczne mausery.

Ta przyboczna gwardja składa się z macedończyków, którzy należą do rodziny Michaiłowa, lub są towarzyszami jego dzieciństwa.

SZOFER MICHAIŁOWA

Od roku 1925 do 1932 jego zaufanym szoferem, na którego mógł zawsze liczyć, gdy szło o zgładzenie przeciwników, był właśnie Władimir Tczernozemski, to jest Vlata Georgujew, zabójca Aleksandra I.

Znałem go z nazwiska, lecz nie mogłem przypuszczać, że istnieje coś wspólnego między nim a królobójcą marsylskim, domniemanym chorwatem Kelemenem.

Wiele się zmieniło w ciągu tego czasu! A jedność poglądów i akcyj, istniejąca między Ustaszi dr. Pavelitcza i komitadżami Michaiłowa, — jedność uzyskana na tajnej konferencji w Zagrzebiu — jest wyraźnie zaznaczona przez współudział ex-szofera kierownika YMRO w zamachu marsylskim.

Georgujew nie był obłąkanym. Był on rutynowanym terorystą, dobrze znanym policji bałkańskiej. Nie było w ostatnich latach jakiegoś poważniejszego zamachu, w którymby nie brał udziału. Pan Simanowitcz, komendant policji jugosłowiańskiej, wie o nim wiele, a w jego rejestrze figuruje Georgujew jako zabójca, podpalacz i herszt bandy.

Dopiero we wrześniu 1924 roku Vlata Georgujew wystąpił na widownię.

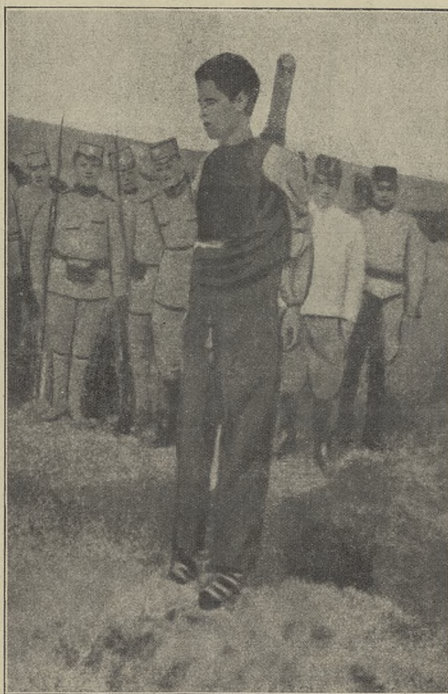
YMRO przeżywała wówczas dość ostry kryzys... finansowy.

SKĄD BIORĄ PIENIĄDZE

W jaki sposób wogóle Organizacja Rewolucyjna zaopatrywała się w niezbędne kwoty pieniężne? Przedewszystkiem istnieje dobrowolna danina niektórych obcych mocarstw, zainteresowanych w utrzymaniu zamieszek bałkańskich. Lecz zabijanie królów, ministrów i mężów stanu pochłania wielkie sumy. Budżet YMRO musi się więc opierać na mniej przypadkowych źródłach dochodu.

Jest to zjawisko jedyne w swoim rodzaju. YMRO nazywa to „podatkiem na rzecz dzieła patrjotów macedońskich".

Proceder ten przedstawia się w następujący sposób: W bułgarskiej Macedonji państwowi poborcy podatkowi objeżdżają dzielnice kraju i ściągają podatki. Jeśli ktoś ma naprzykład płacić 600 lewów rocznie, płaci 660. W ośmiu wypadkach na dziesięć poborca jest w porozumieniu z YMRO, jeśli nie jest jej członkiem. Wszyscy dobrze wiedzą, że te dodatkowe dziesięć procent podatku stanowi „dobrowolny podatek" na rzecz YMRO. A 60 lewów to nie jest wysoka cena, gdy idzie o ochronę chałupy podatnika przed podpaleniem.



Rozstrzelanie terorysty macedońskiego

NAPADY NA SKARB

W Serbji ten mały podatek nie zyskał uznania władz. Tam poborcy Michaiłowa radzą sobie w inny sposób.

We wrześniu 1924 roku jakiś podkomisarz udał się w sprawach służbowych z Mitrowica do Petcz. Chroniony przez żandarmów, posuwał się drogą łączącą oba te miasta. W chwili, gdy eskorta przygotowywała się do przekroczenia Beli-Drin, rzeki przepływającej niezamieszkałą doliną, pokrytą czarnemi sosnami, tczita komitadżów zaatakowała podkomisarza. Zmieszani żandarmi bronili się jak mogli. Tymczasem Georgujew zdążył już porwać podkomisarza i jego sekretarza i uprowadzić w góry Albanji, które posiadają wiele, nieznanych policji kryjówek.

Następnie wszczęto rokowania. Po kilku dniach zwolniono sekretarza. Ten oświadczył, że sprawcy porwania gotowi są wypuścić na wolność podkomisarza, o ile otrzymają okup w wysokości 80.000 dinarów.

Na Bałkanach nie zna się takiego wypadku, by jakiś rząd nie zgodził się na tego rodzaju wymagania. Okup wpłacono.

Serbowie i albańczycy zjednoczyli swe wysiłki, by oczyścić okolice z terorystycznych band. Wysiłki te nie wzruszyły zbytnio komitadżów. Po miesiącu na drodze do Petczu, z bronią w ręku, ograbili samochód skarbowy na dwa miljony dinarów.

Ta ostatnia akcja zjednała Georgujewowi przychylność Michaiłowa.

W owym okresie „mały Vantcze" prowadził ostrą walkę o zdobycie kierownictwa w Organizacji Rewolucyjnej. Jego głównym przeciwnikiem był macedończyk Protogerow, generał armji bułgarskiej.

Protogerow zyskał poparcie parlamentu, ministrów, a nawet dworu. Należało więc przedewszystkiem odosobnić go, a następnie wziąć się bezpośrednio do niego. Michaiłow wyznaje bowiem jedną tylko zasadę walki: jeśli nie można ominąć przeszkód, należy je usunąć.

Pierwszą ofiarą był poseł Hadż Dimow, którego znaleziono martwego na drodze do Sobrania. Następnym skolei był profesor Dan, a za nim szedł długi szereg ofiar. Hadż Dimow i Dan padli z ręki Georgujewa na rozkaz Michaiłowa, zdecydowanego zgładzić tych wszystkich, którzy nie poddadzą się jego woli.

ZAMORDOWANIE PROTOGEROWA

Pewnego wieczora ulicę Isker wstrząsnęła okropna wiadomość. Dotarła ona również do cukierni Zlatica, siedliska frakcji protogeristów: zwłoki Protogerowa znaleziono na ulicy Petkowi o dwa kroki od ministerstwa wojny.

Powszechnie oskarżano Georgujewa o ten zamach i przysięgano mu krwawą zemstę.

„Nie szukajcie winnych. Zamachu nie dokonał Georgujew, lecz ja sam", pisze Michaiłow nazajutrz po zabójstwie w swym dzienniku „Wolność lub śmierć".

Egzekutywa centralna YMRO nietylko prowadzi dokładny wykaz swych ofiar, lecz zawiadamia je na kilka dni przedtem o mającym nastąpić zamachu.

Podziwiajmy ten komunikat, ogłoszony przez Michaiłowa:

„Egzekutywa YMRO, przedsiębiorąc środki karne wobec przyjaciół generała Protogerowa, zdrajcy sprawy i mordercy Aleksandrowa, postanowiła starym członkom kongresu, których nazwiska są niżej podane, wymierzyć bezzwłocznie karę, na którą zasługują. Powaga interesów Macedonji nakazuje użycie tych środków. Umotywowane wyjaśnienia w tej sprawie będą złożone przed kongresem YMRO, który jest jedynie powołany osądzić te rozkazy. Reszta kraju niema w tej sprawie nic do powiedzenia. (Podpis): Ivan Michaiłow.

Na czele tej listy znajdowali się Czandonow, Planica, Abertesewitcz, Tczaulew, Bagdarow, Daskałow — sami posłowie, profesorowie i dziennikarze.

W ten sposób postępuje tylko rząd, gdy ogłasza legalną egzekucję. A w Bułgarji obawa przed rządami Michaiłowa była większa, niż przed rządami królewskiemi. On dyktował swe prawa, sądził, skazywał, wykonywał egzekucje, wciągał w swe szeregi młodzież, ściągał podatki — to wszystko pod nosem legalnych władz.

Ludzie, znajdujący się na czerwonej liście, wiedzą, że nie pozostaje im nic innego, jak bronić się samym przed zamachem.

Nie pomoże nawet ucieczka zagranicę. Planicę zabito w Wiedniu w Burgteatrze podczas przedstawienia, Tczaulewa w Medjolanie, Daskałowa w Pradze.

YMRO wydała 150 wyroków śmierci na protogeristów. W roku 1930 wykonano 130 egzekucyj.

Przed sprawiedliwością bułgarską stoi trudne zadanie. Uniewinnili Michaiłowa sędziowie, którzy drżeli na myśl o odpowiedzialności, jaka na nich spadnie.

Vlata Georgujew alias Kelemen w prostszy jeszcze sposób wydobył się z rąk sprawiedliwości: zaaresztowany w Sofji w roku 1931, został na mocy amnestji z 1-ego stycznia 1932 roku zwolniony.

7-ego września 1931 roku na tajnej konferencji w Zagrzebiu doszło między terorystami do porozumienia i do ustalenia wspólnej działalności.

PRZECIWKO POROZUMIENIU SOFJI I BELGRADU

Ustasza i YMRO nie mają wspólnych celów! Pierwsza jest za utworzeniem niepodległego państwa chorwackiego, druga za niepodległością Macedonji i oderwaniem południowej Serbji od królestwa jugosłowiańskiego.

— Dopóki choć jeden macedończyk będzie pod jarzmem serbów — oświadczył Michaiłow — będę walczył za pomocą wszelkich środków, nie wyłączając bomb, sztyletów, ani rewolwerów.

Zaś dr. Pavelitcz, którego zatrzymano w Turynie, pisał w swym dzienniku: „Hrvatski Domoban":

„Nie możemy dłużej istnieć bez niepodległości, jesteśmy gotowi umrzeć w ogniu i we krwi".

To nie są bynajmniej słowa rzucane na wiatr. Stambuliskiego zabito, ponieważ wyciągnął przyjaźnie dłoń do Aleksandra I i ponieważ podstawą jego polityki było uszanowanie traktatu w Neuilly.

Ani Ustasza, ani YMRO nie chcą słyszeć o zbliżeniu między państwami bałkańskiemi, a przedewszystkiem między Belgradem a Sofją.

Pierwszy zamach na Aleksandra I spalił na panewce w roku 1933. Wówczas komitet dla wspólnych działań obu organizacyj, składający się z trzech członków YMRO: Awramowa,

(Dokończenie na str. 7)

konspiracji i teroru

Romantyzm terorystów

Teroryści... komitadżi... nie trudno sobie wyobrazić ludzi tego typu: bomba w każdej kieszeni, za pasem arsenał, długie sumiaste wąsy. Włóczęgi, kryjący się po jaskiniach górskich lub przyczajeni w swoich zasadzkach...

W rzeczywistości sprawa zupełnie inaczej wygląda. Oczywiście istnieli kiedyś i komitadżi tego rodzaju. Przypominam sobie jak pewnego dnia w 1915 roku banda takich rozbójników bułgarskich zaatakowała w dolinie Wardaru pociąg idący z Uskub do Salonik. Dzisiaj jednak teroryści bałkańscy wyglądają zupełnie inaczej.

Są to panowie naprawdę przyzwoici, bardzo starannie ubrani, spokojni mieszczanie, jakich można widzieć w wielkich kawiarniach, w hall'ach wykwintnych hotelów, w sleepingach lub w pociągach dalekobieżnych.



Symbol „Ustaszi": Śmierć lub wolność

W roku 1928-29 zawarłem znajomość z jednym z nich w hotelu Adlon w Berlinie. Mieszkał w tym hotelu pewien pan, szczupły, doskonale zbudowany, stale w sportowem ubraniu. Nazywał się Adamoff, czy też Adlamoff. Był to przedstawiciel sławnego Michajłowa, szefa macedońskiej organizacji terorystycznej. Mówiono o nim, że ma na swojem sumieniu siedem wykonanych wyroków śmierci. Dalibóg, nie wyglądał na to. Spożywał swoją oranżadę z miną doprawdy niewinną.

Przebywał tam jeszcze niejaki Dr. Pavelicz, silniej zbudowany niż tamten, o twarzy energicznej, małomówny ale stanowczy, materjał na przywódcę, ale na przywódcę wcale ucywilizowanego. Zazwyczaj zamknięty w sobie i raczej zimny, miewał dziwne błyski zapału w oczach, ilekroć mówił o swojej ojczyźnie. Pozatem człowiek wykształcony, kulturalny i świetnie poinformowany o sprawach współczesnych.

Widziałem ich innego dnia w mocno burżuazyjnych apartamentach Ernesta Gryschkata, byłego kapitana marynarki handlowej, którego olbrzymia fortuna, wyłowiona w mętnej wodzie, utonęła w niefortunnej ekspedycji przemytniczej z bronią dla Abd-el Krima. Z pewnym posłem kroackim rozpatrywali oni z największym spokojem, zupełnie trzeźwo i rzeczowo szczegóły ruchawki, która miałaby doprowadzić do wyzwolenia Macedonji, Bośni, Czarnogóry i Kroacji. Kroat i czarnogórzanin brali pod uwagę powstanie ludowe. Pavelicz i Adlamoff nie byli zwolennikami akcji masowej; oni opowiadali się za terorem.

Wskazywali na to, że już w roku 1903 próbowano wywołać powstanie masowe przeciwko Turcji, a potem w 1919 r. przeciwko serbom, i że w obu wypadkach próby spaliły na panewce. Jeszcze mi w uszach brzmią słowa Adlamoffa:

— Bomba macedońska, która w porcie salonickim podpaliła w r. 1903 statek francuski „Guadalquivir" więcej zrobiła dla nas, niż wszystkie wojny podjazdowe i guerille tego roku.

A potem ten spokojny sportsmen dorzucił:

— Karadżordżewiczowie sprzątnąwszy Obrenowiczów, dali nam doskonały przykład, jak należy działać. Wykorzystamy ten przykład przeciwko nim.

I jak gdyby nigdy nic, towarzystwo zapaliło papierosy i popijało dalej swoje oranżady. Ci panowie są bowiem abstynentami, tak samo jak Hitler. Może ktoś powie, że ci komitadżi udają, że się maskują na mieszczan i intelektualistów, by nie zwrócić na siebie uwagi zagranicą, i że u siebie w domu wyglądają inaczej.

Pogląd to zupełnie błędny. Widziałem ich i we własnej ojczyźnie. Spędziłem z nimi cały wieczór w Zagrzebiu w jednej z najbardziej uczęszczanych kawiarń. Nie mówiono oczywiście tak głośno jak w Berlinie, albowiem przy sąsiednim stoliku szef żandarmerji ubiegał się o względy jakiejś niemki o obfitych kształtach. Tego wieczora uraczono mnie wykładem historji.

Opowiedziano mi o czynach i wyczynach Teodora Aleksandrowa, ojca ruchu; wyśpiewano przedemną hymny pochwalne na cześć Ludomira Wassowa, który jedną ręką manewrował bombą, a w drugiej trzymał pióro poety. Cytowano mi nawet jego utwory po francusku.

To wszystko opowiadał mi pewien młodzieniec, wczoraj jeszcze słuchacz Sorbony. Kochał język francuski z tą samą żarliwością, z jaką nienawidził Francji; ta nienawiść polityczna dla Francji cechuje zresztą wszystkich terorystów macedońskich. Ten młodzieniec towarzyszył mi potem przez kilka dni w podróży do Sarajewa, miasta o stu meczetach, owianego tchnieniem Wschodu, do Mostoru, stolicy Hercegowiny, zwaliska starych ruder tureckich, piekących się w słońcu.

W pobliżu Mostaru, śród ruin i zwalisk starych budynków miałem zaszczyt ujrzeć prawdziwe tajne zebranie. Brało w niem udział około trzydziestu ludzi, chłopów - rozbójników, czy ja wiem?

Nad tem wszystkiem unosił się dziwny nieokreślony i nie dający się nazwać zapach, mieszanina wyziewów alkoholu, tytoniu, koziej skóry, kapusty i wędzonego mięsa. Wygłaszano tam przemówienia, z których oczywiście nie zrozumiałem ani słowa. Nikt nikomu nie przerywał. Atmosfera była przeładowana wiarą, nadzieją i żądzą walki.

Zwróciłem się do swojego przyjaciela, owego młodzieńca, który mi towarzyszył w podróży po Bałkanach:

— Więc to są wasi prawdziwi teroryści?

Mój towarzysz roześmiał się serdecznie.

— Sądzi pan? — powiedział mi. — Toż to są nasze zwyczajne bydlątka ludzkie, mogą się przydać przy przemycaniu broni, nadają się do zamachów pogranicznych, do akcji dywersyjnej. Ale prawdziwi teroryści — to jest inna zupełnie klasa ludzi. Pan ich już zna, obcował pan już z nimi gdzieindziej. Widzi pan, terorysta jest człowiekiem, który się głęboko zastanowił, który jest przejęty posłannictwem wyswobodzenia swojej ojczyzny. Jest to człowiek, zdolny do takiej miłości i do takiej nienawiści, że nie znajduje w swojem życiu innego celu, poza poświęceniem się dla sprawy.

— A jest ich dużo?

— Kilkuset. To wystarczy. I jeżeli jeden z nas padnie, znajdzie się wnet ktoś inny, który zajmie jego miejsce. Pan zna nasze hasło: „Wolność albo śmierć!" Zazwyczaj kończy się to śmiercią. Lecz kiedyś z tego wyrośnie wolność.

Znalazłem się duchowo w atmosferze czystego romantyzmu. Stanąłem oko w oko z Werterami Goethego, z Karolami Moorami Schillera, przeszczepionymi w atmosferę bałkańską, stojącymi zdala od wszelkich zagadnień gospodarczych, upajającymi się własnem bohaterstwem, żyjącymi w aurze misterjum, spisków i zamachów.

Jednem słowem, znalazłem się śród ostatnich mohikanów romantyzmu. Cóż za wspaniałe narzędzia w ręku polityków bez skrupułów, lecz dysponujących odpowiedniemi, niezbędnemi przy akcji konspiracyjnej funduszami, za które można kupić tych ostatnich fanatycznych romantyków, nie zdających sobie nawet sprawy, że są marjonetkami w cynicznych rękach! Czyż Alfred Rosenberg, kierownik biura polityki zagranicznej partji narodowo-socjalistycznej, nie napisał w swojej książce „Krew i Honor", że sprawy macedońsko - kroackiej nie można rozwiązać drogą rokowań dyplomatycznych?

Mój młody przyjaciel, terorysta, podzieliłby jego zdanie, gdyby jeszcze żył. Lecz on padł od kuli żandarma, po tem, jak rzucił przez okno bombę do willi pewnego dostojnika serbskiego.

„Vu", Paryż.

Hitler subsydjuje Pavelitcza

Pogląd, że istnieje pewna zależność między opozycją chorwacką Radicza a terorystyczną organizacją Ustaszi, jest z gruntu mylny. Sam Pavelitcz nazwał Radicza „agentem zagranicznym". Od czasu, kiedy opozycja chorwacka pogodziła się z dziełem zjednoczeniowem zamordowanego króla, przepaść między temi organizacjami jeszcze bardziej się pogłębiła.

Tymczasem teroryści Pavelitcza utracili wszelki kontakt z ojczyzną. Są oni organizacją zainstalowaną na obcym gruncie, subsydjowaną przez obce pieniądze i służącą obcym interesom. Przed dwoma laty dała się Ustaszi silnie we znaki ta zależność od obcych państw. Pomoc finansowa przestała napływać. Zjednoczenie Jugosławji stawało się faktem dokonanym, przeciwko któremu nie zdałyby się na nic pojedyńcze akty teroru.

JANKA-PUSZTA — POSIADŁOŚCIĄ HRABIEGO BETHLENA

W owym czasie działalność terorystyczna Ustaszi prawie całkowicie zamierała. Brak było pieniędzy na przeprowadzenie jakiejkolwiek akcji. Życie najemników z Janka-Puszty płynęło bezbarwnie i jednostajnie. Rząd jugosłowiański czynił ze swej strony energiczne kroki w Budapeszcie, by osiągnąć rozwiązanie obozu. Rząd węgierski odpowiedział, że Janka-Puszta jest prywatną posiadłością i że czynniki oficjalne nie mogą niczego przedsięwziąć wobec jej właścicieli, którzy zabawiają się strzelaniem z karabinów i rzucaniem bomb dopóki, dopóty czynią to w granicach swej posiadłości i nie wyrządzają tem nikomu szkody.

Odpowiedź ta zawiera pewną dozę cynizmu. Świadczy o tem wykaz węgierskich posiadłości ziemskich. Jako właściciel Janka-Puszty figuruje tam osobiście hrabia Bethlen. Wydzierżawił on ten obszar niejakiemu hrabiemu Inkey, ten znów oddał go do użytku Dr. Antoniego Pavelitcza.

PAVELITCZ JEDZIE DO NIEMIEC

W owym to czasie, kiedy organizacja terorystyczna była pozbawiona środków finansowych i chyliła się do upadku, w Niemczech doszedł do władzy Hitler. Pavelitcz przeczuwał, że nadchodzi jego wielki dzień i pojechał do Niemiec. Rosenberg przyjął go z otwartemi ramionami i Pavelitcz otrzymał pieniądze i instrukcje.

Po długim okresie bezczynności i nudy nowe życie zakwitło w Janka-Puszcie.

Pavelitcz umiał się odwdzięczyć za wyrządzoną przysługę. Jego ruch przybrał charakter narodowo-socjalistyczny.

Podamy dla przykładu urywek z odezwy programowej wydanej w lutym roku 1934, w której podkreśla się, że Ustaszi „będzie wszelkiemi środkami walczyć przeciw antychorwackiej, zażydzonej Jugosławji, jak również przeciw międzynarodowemu komunizmowi i wszelkim formom defetyzmu marksistowskiego".

Rosenberg i Goebbels znaleźli pojętnego ucznia, a Trzecia Rzesza — oddanego sługę.

PAVELITCZ PRZENOSI SIĘ DO BERLINA

Pavelitcz, uszczęśliwiony powodzeniem swej misji, stwierdza, że klimat Trzeciej Rzeszy jest dla niego szczególnie odpowiedni, i przeprowadza się do Berlina.

W początkach tego roku przenosi się na krótko do Gdańska. Powody tego wyjazdu są dokładnie niewyjaśnione. Stoją one chyba w ścisłym związku z przeniesieniem do Gdańska redakcji jego gazety „Nezavisma Hrvatska Drzava", którą subsydjują brunatni władcy Niemiec. Po pewnym czasie przeniesiono ją spowrotem do Berlina.

PAVELITCZ DZIĘKUJE HITLEROWCOM

W marcu bieżącego roku można było czytać w tej gazetce artykuł pochwalny i pełen entuzjazmu na cześć brunatnych gospodarzy:

„Chorwaccy emigranci byli ze wzruszającą gościnnością przyjęci przez nowe Niemcy... Każdy wie, że wszystko, co wypisuje się o nowych Niemczech, jest kłamstwem i oszczerstwem, wymyślonem przez nieprzyjaciół Niemiec".

Wraz z hitlerowskiemi pieniędzmi wkroczyło nowe życie w jaskinię morderców z Janka-Puszty. Z początkiem 1933 roku rozpoczęła się nowa serja napadów granicznych, morderstw i zamachów bombowych. W ciągu tego tylko jednego roku było ich o wiele więcej, niż dotychczas, od początków istnienia ruchu Ustaszi. Pieniądze Trzeciej Rzeszy dały obfity plon.

Proces, prowadzony zeszłej jesieni przeciw niektórym terorystom Pavelitcza, wykazał niezbicie, że Trzecia Rzesza pomagała i współdziałała z Ustaszi. Jeden z głównych oskarżonych, Petar Oreb, zeznał, że hitlerowcy finansowali działalność Pavelitcza.

POŚREDNICY

Dwie osobistości odgrywają znaczną rolę w rozwoju Ustaszi od chwili jej połączenia się z Trzecią Rzeszą. Jedna z nich — to prawdziwy przestępca, mianowicie fałszywy książę Windischgrätz, który swego czasu wypuszczał na giełdy świata fałszywe banknoty tysiącfrankowe. Dzisiaj zajmuje on odpowiednie dla siebie stanowisko — jest w Goeringowskiem Gestapo. Windischgrätz służy, jako pośrednik między rządem węgierskim, z którym jest w bliskim kontakcie dzięki intymnej przyjaźni z hrabią Bethlenem, a Pavelitczem i narodowymi socjalistami. Druga osobistość — to również fałszerz pieniędzy, niejaki Messoroch. Prowadzi on obecnie nocny lokal w Berlinie, gdzie pan Roehm posiadał swych przyjaciół.

„Pariser Tageblatt", Paryż.

Współdziałanie Ustaszi i YMRO

(Dokończenie ze str. 6)

Dragonowa i Eptimowa, oraz Dr. Pavelitcza, wezwał dwóch wykwalifikowanych zamachowców.

Jednemu z nich, Eugenjuszowi Kwaternikowi to jest Kramerowi, studentowi medycyny, urodzonemu w roku 1910 w Zagrzebiu, polecono zorganizować zamach.

Drugiemu Georgujewowi Tczernozemskiemu, szoferowi teroryście, którego przeszłość gwarantowała powodzenie akcji, powierzono wykonanie samego zamachu. To przygotowane opracowane w najdrobniejszych szczegółach doprowadziło do dramatu marsylskiego.

Gdy Egzekutywa YMRO lub komitet wykonawczy Ustaszi wydają na kogoś wyrok śmierci i wyznaczają katów, ci ostatni muszą dokonać egzekucji, jeśli sami chcą ujść z życiem.

Kelemena-Georgujewa spotkało to, na co zasłużył. Pavelitcz, Kwaternik i ich wspólnicy są pod kluczem. Nie jest jednak prawdopodobne, by Ustasza i YMRO przestały istnieć. Uda się je zlikwidować tylko wówczas, gdy wszystkie państwa wezmą udział w tej akcji.

Lecz wykonawcy dramatu nie powinni przesłaniać nam istoty rzeczy. Wykonawcami są teroryści, istotą rzeczy — Chorwacja i Macedonja.

Teroryści nie chcą uznać zobowiązań, zaciągniętych przez rządy, których nie słuchają, i które z tego powodu zwalczają.

Gdy w pobliżu znajduje się beczka prochu, najprościej jest usunąć ją zawczasu...

„1934", Paryż.

MODA DLA PANA

Czy mąż pani jest chodzącym modelem dobrze ubranego, wytwornego pana? Na dziesięć pań, dziewięć nie potrafi odpowiedzieć ani „tak" ani „nie" na to pytanie.

Co powinien nosić dobrze ubrany mężczyzna? — oto pytanie jakie napewno chciałyby zadać.



Odpowiedź na nie dają krawcy londyńscy. Zmiany w modzie męskiej są tak niewielkie, że mylnie mniema się, iż moda nie zmieniła się od pięciu lat. Nie jest tak jednak. Conajmniej w dwunastu szczegółach stroju zaszły małe, niewidoczne zmiany.

KWADRATOWE RAMIONA, SZEROKIE PLECY

Modne ubranie marynarkowe dla codziennego użytku powinno być w kolorze szaro-granatowym lub bronzowym. Materjały — przeważnie w jeden lub dwa nieznaczne paski.

Od jednorzędowych marynarek znacznie modniejsze w tym roku są dwurzędowe, szersze w kroju, o stanie cokolwiek niższym i, jak z tego wynika, dłuższe o dwa centymetry. Klapy są szersze i głębsze, ramiona bardziej kwadratowe, plecy szerokie.

Marynarka musi podkreślać w tym roku objętość piersi. W tym celu w dwurzędowych garniturach dla szczupłych panów guziki rozstawiane są umyślnie daleko od siebie. Panowie nieco tężsi wolą zazwyczaj ubrania jednorzędowe na trzy guziki (z których tylko środkowy jest zapięty).

WYMOWA GUZIKÓW

W kroju rękawów zaszły zmiany niewielkie. Im marynarka staje się szersza, tem bardziej zwężają się rękawy — co nie jest ani logiczne ani wygodne; na mankiecie zawsze obowiązują trzy guziczki — z jednym wyjątkiem ubrań sportowych. Spodnie są dosyć szerokie, z nieśmiałą tendencją do większej szerokości. Przy ubraniach codziennych mają mankiety: przy stroju oficjalnym — nie mają go. Kamizelki — jednorzędowe, dosyć wysokie, o ostrych końcach, zapięte najczęściej na sześć guziczków — a właściwie na pięć, bo najniższy jest z reguły odpięty.

Koszule w paski są stale jeszcze modne, byle w jasnych kolorach. Zjawiają się także koszule kolorowe gładkie, a białe koszule i kołnierze przeżywają niebywały renesans.

Na palta jesienne najmodniejsze kolory to granatowy i szaro-granatowy. Długość płaszcza zależy w dużej mierze od fasonu. Popularny jest fason dwurzędowy, ma guziki przyszyte tak wysoko, że najwyższego nie zapina się najczęściej.

Najelegantsze kapelusze — to obecnie czarne filcowe o nieco podwiniętych i lamowanych brzegach.

„The Vogue", Londyn.

KSIĄŻĘ WALJI — TO NAPRAWDĘ MĘŻCZYZNA

Kilka miesięcy temu policja paryska dokonała konfiskaty pisma pod nazwą „Ecoutez moi" (Posłuchajcie mnie), przyczem cały nakład spalono. Policja działała na skutek interwencji francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, na prośbę Brytyjskiej Ambasady, obrażonej artykułem, który ukazał się w tem piśmie p.t. „Książę Walji — stuprocentowym mężczyzną".

Z francuskiego punktu widzenia artykuł ten nie ma w sobie nic obraźliwego.

„Najciekawszem zagadnieniem, dotyczącem życia księcia Walji" — czytamy — „jest sprawa jego celibatu. Dlaczego Książę, będąc już na progu czterdziestki, nie ożenił się dotychczas? Mówią, że Książę jest wrogiem kobiet. Nic podobnego. Książę ma zupełnie normalne upodobania i dał już liczne dowody swego zainteresowania płcią piękną."

„Ecoutez moi" pisze w konkluzji: „Jego Książęca Wysokość kocha się w kobiecie, nie pochodzącej z królewskiego rodu; jego matka wyznaczyła mu termin na wybór odpowiedniej żony do końca roku 1935. O ile do tego czasu nie znajdzie sobie sam żony, będzie musiał zgodzić się na tę, która mu zostanie wskazana przez matkę".

Inne pismo, amerykańskie „Liberty", omawiając intymne życie Księcia Walji, okazało nie wiele więcej subtelności, aniżeli „Ecoutez moi". Oto przykład:

„Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, dlaczego Ks. Walji nie ożenił się dotychczas. Jest on poprostu zbyt zajęty. W okresie, gdy normalnie jego rodzina powinna była ożenić go. Książę służył Ojczyźnie w armji, albo jako nad-komiwojażer eksportu angielskiego, albo jako zastępca ojca podczas jego choroby. Obecnie, będąc w wieku nie nadającym się zasadniczo do małżeństwa, interesuje się wyłącznie zwykłemi śmiertelniczkami. Nie chce się ożenić, ani też nie myśli o abdykacji. Pragnie być angielskim „królem-Kawalerem".

Ostatecznie musimy stwierdzić, że „Królewicz z Bajki" należy już do przeszłości. Książę Walji jest tego klasycznym przykładem.

„Time", Nowy Jork.

Jak natura przygotowuje się do zimy

Natura przygotowuje się do zimy. Gromadzenie zapasów żywności uważane jest za dowód wyższej inteligencji ludzkiej, ale niesłusznie, gdyż wiele zwierząt robi to samo instynktownie. W jaki sposób zwyczaj ten zapanował wśród beztroskich, opierzonych i owłosionych stworzeń, które zazwyczaj żyją z dnia na dzień i nie myślą przez większą część roku o jutrze, niełatwo wytłumaczyć. Tak jednak jest.

Przez całe tygodnie w jesieni, zwłaszcza kiedy liście zaczynają opadać z drzew, zapobiegliwe stworzenia zajęte są zbieraniem zapasów pożywienia na martwy okres roku, kiedy trudno im wyżyć.

Mysz polna jest bardzo skrzętną gospodynią. Zbiera ziarna, fasolę i orzechy. Kiedy zapełni jedną komorę, napełnia drugą, czasem i trzecią. Składy takie często wystarczą dla przetrwania nawet następnego lata.

Krety polne gromadzą zapasy pod ziemią, nierzadko pracując w towarzystwie i jeżeli zdarzy się okazja, żywiąc się z jednego talerza. Kiedy zima jest sroga, mogą całemi tygodniami nie wychodzić ze swoich nor. Krety są zawsze głodne i zdychają, jeżeli są pozbawione żywności przez więcej niż dwa dni.

Ptaki rzadko tworzą śpichrze czy stodoły. Mimo to sójki zagrzebują orzechy w ziemi lub pomiędzy zwiędłemi liśćmi, a wrony często je naśladują. Sowy, w przewidywaniu zimy, zakopują padlinę w bliskości swoich gniazd. Zapasy te są jednak często robione dość bezmyślnie.

Myszy polne i szczury, które tak pilnie zbierają pożywienie, często zapominają gdzie umieściły swe skarby. Wiewiórki, jak powszechnie wiadomo, gromadzą orzechy, żołędzie, chowając je w dziuplach drzew, albo zakopując po jednemu w ziemi. Wierzy się przytem, że zawsze potrafią odnaleźć te zapasy, nawet jeżeli pokryje je gruba warstwa zeslych liści czy śniegu. Ale w cieplejsze dni zimowe często można widzieć jak rude zwierzątka grzebią wśród liści lub patrzą na gołą ziemię, najwidoczniej głodne, ale nie mając pojęcia, gdzie ukryły pożywienie. Wiewiórki mają rozwinięty zmysł przestrzeni, i ten to zmysł bardziej, niż zmyślność czy inteligencja, ratuje je w zimie od głodu.

Kiedy małe zwierzątka gromadzą w jednem miejscu zbyt wiele zapasów, zawsze zachodzi obawa, że odkryją je inne, nie mające do nich prawa. W czasie mrozów czworonogi i wielkie ptaki nie wahają się włamywać do każdego znalezionego „składu". Z tego też względu bardziej przewidujące stworzenia umieszczają depozyty w różnych miejscach.

Chomik, który zasypia na sześć czy siedem miesięcy i nie budzi się przez ten czas ani razu, zbiera tylko tyle żywności, ile mu potrzeba po zbudzeniu się na wiosnę.

Łasice gromadzą w norach szczątki swoich ofiar. Myszy, ptaki i nawet króliki leżą w stercie na jednem miejscu i co dziwniejsze, ułożone głowami w jedną stronę. Te łakome na krew szkodniki rabują sobie nawzajem dobytek. Lisy, kiedy je z legowisk wygnają myśliwi czy głód, też nie pogardzają takiem jadłem, nawet jeżeli nie jest zbyt świeże.

Żaden wieśniak, któremu zdarzy się wykryć zapasy łasicy, nie powstrzyma się od ich zniszczenia.

„The Sunday Express", Londyn.

Sporty zimowe w pokoju

Co robić podczas długich wieczorów, które nastają równie nagle, jak szybko? Zmniejszanie się dnia jest sygnałem, że trzeba pomyśleć o wypełnieniu czasu.

Mało jest rodzin, któreby lubiły siedzieć wokoło domowego ogniska i patrzeć się na siebie całemi godzinami; jeszcze mniej — takich, któreby mogły pozwolić sobie na wychodzenie co wieczór. Naturalnem lekarstwem są wizyty, składane nam przez przyjaciół, albo przyjaciołom przez nas. W obydwu wypadkach jednak trzeba na wizytach coś robić.

Dla uniknięcia nudów takich, jak rodzinne, proponuję następujące rzeczy:

Golf stołowy. Podobny jest w zasadzie do zwykłego golfa i ma taką samą ilość dziur. Model który widziałem był jasno zielonego koloru, przybrany hebanowem drzewem.

Wyścigi pokojowe. W tę grę gra się kartami na malutkim torze, który ma minjaturowe przeszkody, rowy, płoty i koniki-zabaweczki. Podobno, że ludzie pasjonują się temi wyścigami niemniej niż prawdziwemi.

Są jednak ludzie, którzy niecierpią ruchu — zdarza się to zresztą także i paniom domu. A więc, kiedy zebranie towarzyskie przyrosło spokojnie do foteli, rozleniwione fizycznie i gotowe do umysłowego zamarcia, można zacząć opowiadać początki historyjek detektywnych i tajemniczych mordów, a reszta towarzystwa ma w jakiś sposób odgadnąć zakończenie.

Naprzykład: Pewien człowiek wskoczył do rzeki Niagary w noc Bożego Narodzenia. W cztery godziny później znaleziono go martwego, w suchem ubraniu. W jaki sposób i dlaczego umarł?

Zapewne potrwa dłuższą chwilę, zanim ktoś zorjentuje się, że rzeka Niagara zamarza w pewnych porach roku.

Poprobujcie tej gry; można zmyślać najmniej prawdopodobne rzeczy, a w rezultacie nudzące się towarzystwo budzi się do życia.

„Sunday Referee", Londyn.

KOSTJUMY JESIENNE

Większość kostjumów jesiennych uszyta jest z grubego materjału o miękkiem włosiu, nierzadko przetykanego nitką metalową. Materjał ten o elastyczności jersey'u, układa się pięknie i nie krępuje swobody ruchów.

Modne są zarówno żakiety trzy-ćwierciowe jak i krótkie z baskinką, albo proste jak mundury wojskowe z paskami lub bez pasków. Paski grają wielką rolę w modzie jesiennej.

Kamizelki do kostjumów są znowu bardzo faworyzowane. Robi się je w tym roku z tweedów, ze szkockich materjałów w barwną kratę i wreszcie z futra — co jednocześnie jest i eleganckie i ciepłe i pozwala przystosowywać komplety do pogody.

Kolory najbardziej faworyzowane to zielony w całej gamie odcieni, bronzowy i ciemnoczerwony. Płaszcze w barwie harmonizują z kostjumami, ale są o ton ciemniejsze, jeszcze bardziej miękkie i wygodne, bogato przybierane futrem. Lutry, oceloty, lamparty, bobry — to futra najbardziej do stroju sportowego odpowiednie. Spódnice w dalszym ciągu — niebardzo długie.

„Femina", Paryż.

André Birabeau

SAMOBÓJSTWO

Pani Garmont weszła do gabinetu swego męża. Drżała na całem ciele.

Wyjęła kopertę z pudełka, przez chwilę wahała się, poczem usiadła przed maszyną do pisania, na której właściwie nie umiała pisać.

Uderzała niezgrabnie, jednym palcem, długo namyślając się.

Ręce, nogi i nawet szczęki jej drżały. Z trudem podniosła się, i z kopertą w ręku chwiejnym krokiem przeszła do swego pokoju. Tu również zawahała się...

Nigdyby nie uwierzyła, że jej to przyjdzie z takim trudem... Wreszcie otworzyła gwałtownym ruchem małą szkatułkę, wyjęła z niej paczkę listów, wyjęła jeden list i, rzuciwszy nań szybkie spojrzenie, włożyła go do koperty. Kopertę zakleiła i zadzwoniła.

Weszła pokojówka.

— Wyślesz natychmiast ten list... pocztą pneumatyczną...

— Słucham panią.

Drzwi zamknęły się.

Pani Garmont przez chwilę jeszcze stała, poczem opadła na kozetkę, zamarłszy w bezruchu.

— A więc stało się: popełni samobójstwo... Powiedziała swemu kochankowi: Przysięgam ci... to nie frazes, to szczera prawda: nie mogę żyć bez ciebie! Jeśli odejdziesz, zabiję się!

Zabije się tak, jak będzie umiała.

Nie wystarczało jednak chcieć umrzeć. Trzeba było jeszcze wykonać ruch, który wszystko zakończy... Wiedziała dobrze, że nigdy palec jej nie będzie chciał nacisnąć cyngla rewolweru, że jej ciało nie straci równowagi na parapecie okna, ani jej usta nie wypiją jednym haustem trucizny...

Pozostał więc tylko jeden sposób: dać się przez kogoś zabić...

Tylko tak, tylko tak...

Mąż jej, pan Garmont, był silnym mężczyzną o mocnych rękach i szerokiej klatce piersiowej. Naogół dobry, łatwo unosił się gniewem, a wtedy był straszny!

Był dyrektorem fabryki. Od pracowników swych wymagał uczciwości i sumiennego spełniania obowiązków.

Jej też kiedyś powiedział:

— Mogę być najlepszym z mężów, ale pod warunkiem, że będziesz zawsze postępowała ze mną uczciwie...

Gdyby wiedział o jej przeżyciach. Nosił zawsze przy sobie rewolwer. Zresztą, jego duże, silne ręce, wystarczyłyby. Była taka drobna, malutka, wyglądała na małą dziewczynkę.

Na kopercie napisała na maszynie adres swego męża w fabryce. Do koperty włożyła list od swego kochanka. W ten sposób popełniła już samobójstwo. Przykładając do warg brzegi koperty, żeby je zwilżyć i zakleić, miała wrażenie, że czuje na ustach truciznę...

Teraz musiała czekać. Najmniej dwie godziny. Zanim list doręczą do fabryki, zanim mąż przyjedzie autem... Paryż o tej porze taki ruchliwy... Tak, najmniej dwie godziny...

Wtuliwszy się w poduszki, czekała... Tuż naprzeciwko drzwi, przez które za chwilę wejdzie... śmierć...

Czekała... A tymczasem dziki korowód myśli cisnął się do jej biednej, a umęczonej główki! Tysiące myśli, które goniły jedna za drugą. Myślała o swoim przyjacielu, który odszedł, o mężu, który miał lada chwila przyjść... o tej miłości, bez której nie mogła żyć... o tych wszystkich rzeczach, które będzie zmuszona opuścić...

Skończyło się... Kości rzucono. Nie pozostawało jej już nic innego, jak tylko czekać chwili śmierci. Jak to nieskończenie długo trwało! Agonja! O ileż prościej byłoby przycisnąć palec do cyngla rewolweru...

Wreszcie drzwi się otworzyły. Wszedł jej mąż.

Instynktownie skurczyła się wśród poduszek i zamknęła oczy. Nie poruszył się ani na krok. Wyczekiwała... zdawało jej się, że czuje już nad swoją twarzą jego oddech... jego ciężki oddech!... Jaka to męka, tak czekać!

Bojaźliwie uniosła powieki i spojrzała na niego. Stał przeraźliwie blady, z otwartemi ustami, a jego bezwładne ręce opanowało jakieś drżenie.

Wkońcu rzekł głosem zmienionym:

— Posłuchaj mnie... przyszedłem... ponieważ... Otóż, otrzymałem w fabryce list... pocztą pneumatyczną... Oto koperta z adresem, wypisanym na maszynie a wewnątrz list... list miłosny, napisany przez mężczyznę... Rozumiesz... ktoś przysłał mi go, żeby się zemścić na mnie... żeby mi powiedzieć: „kobieta, którą kochasz, zdradza cię... oto załączony dowód" i istotnie, to był dowód oczywisty, niezomylny!... Ten list... kiedy go przeczytałem... O Boże!!... czułem, że odchodzę od zmysłów... pobiegłem... i...

Postąpił kilka kroków i upadł ciężko na kozetkę:

— ...i ...muszę ci to powiedzieć, moje biedne maleństwo, gdyż tego jeszcze wieczora napewno będę aresztowany... Przed chwilą zabiłem moją kochankę!!

„Tout a Vous" Paryż

Lothar Ring

Amerykański figiel

— Jeszcze chwilka cierpliwości, w tej chwili skończę.

Lekkie palce pokojowej po raz ostatni wygładzają złote loki pani. Tu trzeba przyczesać kilka niesfornych włosków, tam wetknąć brylantową zapinkę — i wreszcie arcydzieło gotowe, fryzura i piękna pani mogą się ukazać oczom tłumu. Piękna Florencja pochyla do przodu z gracją górną część ciała i rozchyla różane usteczka w uśmiechu, który ukazuje dokładnie sześć górnych i cztery dolne ząbki.

Tak namalował ją kiedyś słynny portrecista, profesor Smaroński, jej stary przyjaciel i wielbiciel i obrazem tym przysporzył sławy sobie i zapoczątkował popularność Florencji. Od owego czasu Florencja uważała poniekąd za swój obowiązek uśmiechać się zawsze w ten, a nie w inny sposób. Patrzała z zachwytem w lustro, które odbijało jej wdzięczną postać. Wyglądała cudownie. Ten, kto nie kochał się w delikatnym owalu jej stylowej twarzyczki, musiał zachwycać się olśniewającą bielą jej ciała i rysunkiem piersi, których piękność cieniutki szal koronkowy bardziej odsłaniał niż zakrywał.

Ktoby interesował się bliżej bajeczną karnacją wyżej wymienionych wdzięków, mógłby za pośrednictwem „Institut de Beauté", sp. z o. o. (dla wyrobu pudrów i kosmetyków, Paryż IX) dowiedzieć się wielu ciekawych o niej szczegółów. Żaden jednak z licznych przyjaciół Florencji nie byłby nigdy wpadł na taki pomysł. Florencja nie miała się zresztą czego obawiać, ponieważ tem, co w niej było istotnie oryginalne, była jej sztuka. Kiedy z nieporównanym wdziękiem wyrzucała wgórę prześliczne nogi, którym pewien słynny poeta poświęcił dramat wierszem, rozlegały się wśród zachwyconej publiczności długo niemilknące oklaski. Sławna była pewna jej poza w tańcu, kiedy z wdziękiem zarzucała swemu partnerowi nogę na ramię. Ta wyjątkowa poza przyprawiła przed kilku laty księcia panującego B. o utratę majętności i rozumu. Jakkolwiek ta ostatnia strata nie była zbyt wielka, to jednak poddanie księcia pod kuratelę w związku z nogami Florencji ustokrotniło jej międzynarodową popularność i sławę.

Po tej krótkiej dygresji, wróćmy jednak do miejsca, gdzie rozgrywa się nasza opowieść, to jest do Nowego Jorku. Na tysiącach afiszów można wyczytać, z ust ochrypłych wykrzykiwaczy usłyszeć, że dziś sławna tancerka „Piękna Florencja" poraz pierwszy wystąpi w Grand Varieté. Wszystkie dzienniki szczegółowo omówiły wszystkie przeżycia pięknej tancerki, która po zerwaniu z księciem B. weszła do najwytworniejszych sfer arystokratycznych. Nic dziwnego zatem, że bilety do Grand Varieté po cenach podwyższonych zostały wykupione i że publiczność zaczęła wypełniać salę na długo przed początkiem przedstawienia, wyznaczonym punktualnie na dziewiątą.

Podniecenie publiczności nie udzieliło się bynajmniej na odległość pięknej Florencji. Był już kwadrans przed dziewiątą. Tancerka jeszcze raz przejrzała się spokojnie w lustrze z widocznem zadowoleniem, uśmiechnęła się do swego odbicia, z pomocą pokojowej zarzuciła na śnieżne ramiona kosztowny płaszcz ze srebrnych lisów i poczęła z wyniosłym wdziękiem — pozostałością zapewne po znajomości z księciem B. — posuwać się ku drzwiom — kiedy nagle, jakby powstrzymana jakąś magnetyczną siłą, stanęła jak wryta.

Przed nią, wyrosły jak spod ziemi, stał mężczyzna i wpatrywał się w nią palącem spojrzeniem. Prawdopodobnie bandyta, który ukrył się za portjerą — przeszła jej przez głowę myśl. Pokojowa znieruchomiała z przerażenia, nie mogąc ze strachu wydobyć głosu. Florencja oprzytomniała pierwsza.

— Czego pan chce? — zapytała głosem przytłumionym przez strach.

— Niczego, — odpowiedział spokojnie człowiek.

— Proszę wobec tego opuścić w tej chwili pokój.

— Nie.

— W takim razie ja wyjdę. — Mówiąc to, Florencja skierowała się ku drzwiom, chcąc zawołać o pomoc. Mężczyzna jednak przejrzał jej zamysł.

— Proszę się nie ruszać. — Wymierzony groźnie rewolwer, dodał tym słowom należytej wagi. Nieznajomy zamknął drzwi na klucz i schował go do kieszeni. Drżącemi rękoma podała Florencja swój cenny naszyjnik z pereł intruzowi, którego uważała już zdecydowanie za bandytę. Na szczęście perły były fałszywe, a prawdziwe spoczywały gwoli ostrożności w głębi skarbca bankowego. Z lekkim uśmiechem mężczyzna potrząsnął głową.

— Dziękuję pani, nie przyszedłem tu w zamiarze rabunku.

— To warjat! — wyszeptała pokojowa, która nareszcie oprzytomniała. Zanim Florencja zdążyła odpowiedzieć, rozległ się dzwonek telefonu.

— Mój dyrektor! — zawołała Florencja i pobiegła w stronę aparatu. Ale mężczyzna ją wyprzedził.

— Kto mówi?

— Tutaj dyrektor Grand Varieté — słychać odpowiedź. — Dlaczego Florencji niema jeszcze w teatrze? Publiczność niecierpliwi się i zaczyna hałasować. Jeżeli Florencja natychmiast nie przyjedzie, będzie skandal, niesłychany nawet w New-Yorku.

— Panna Florencja każe panu zakomunikować, że nie może przyjechać do teatru, — rzekł nieznajomy i odłożył słuchawkę, nie czekając na odpowiedź.

— Czy pan oszalał?!! — krzyknęła Florencja, nieprzytomna prawie z gniewu.

— Bynajmniej — odpowiedział nieznajomy w uprzejmy sposób, — ale raz chciałem pani talenty podziwiać sam. Proszę, niech pani zatańczy.

— Niech się pani nie opiera, — szeptem zaczęła namawiać pokojowa. — Niech mu pani ustąpi, bo ten szaleniec gotów jeszcze coś złego zrobić.

Florencję logika tej rady musiała przekonać, bo po chwili zaczęła tańczyć Fandango. Cały gniew i powstrzymywana, spowodu niemożności wystąpienia wściekłość, wypowiedziała się w namiętnym tańcu. Ciało jej, smukłe i giętkie prężyło się dziko, a mimo to ruchy jej pełne były wdzięku i harmonji. Po twarzy nieoczekiwanego gościa przewinął się uśmiech zadowolenia.

— Jak wysoka jest kara konwencjonalna, jaką pani musi zapłacić na wypadek niemożności wystąpienia?

— Dwadzieścia tysięcy dolarów, — odrzekła Florencja.

— Oto czek na sumę trzy razy wyższą — rzekł nieznajomy. — Będzie własnością pani, jeżeli zechce pani jutro wystąpić w moim teatrze. A teraz pozwoli pani, że się przedstawię i wyjaśnię tę niezwykłą sytuację. Jestem dyrektor Smith z Metropole-Varieté. Mój konkurent, dyrektor Grand Varieté przed rokiem przekupił mego najlepszego tenora. Dziś zrewanżowałem mu się. Przekonany jestem, że Nowy Jork umrze ze śmiechu, kiedy z gazet dowie się o figlu, jaki wypłatałem mojemu szanownemu koledze. Teraz położyłem go już nazawsze, a na jutrzejsze przedstawienie podniosę dziesięć razy ceny. Pani zaś, jako wielka artystka, zechce mi przecież wybaczyć i zgodzi się na moją propozycję!

Piękna Florencja chciałaby się może i trochę podrożyć. Ale, ponieważ ma równie wielkie poczucie interesu, jak wielki talent, ułożyła różane usteczka w dobrze znany z portretu, wdzięczny uśmiech, co w danym wypadku równoznaczne było z wyrażeniem zgody.

„Wiener Magazin", Wiedeń.



Musi go pan odratować doktorze... Musimy przecież dokończyć robra!

„The Passing Show", Londyn.

STULECIE AUSTRALJI I JEJ

MŁODOCIANE LATA AUSTRALJI

W Australji odbywają się uroczystości, na które król angielski wysłał do Melbourne swego syna, księcia Gloucesteru.

Melbourne jest siedzibą rządu Stanu Victoria, a do niedawna było stolicą Stanów Australijskich. Uroczystości w Melbourne są związane z powstaniem tego brytyjskiego osiedla, które obecnie liczy ponad miljon mieszkańców.

Data tych uroczystości jest trochę dowolnie wybrana. Angielski odkrywca Cook skierował się do brzegów Australji jeszcze przed braćmi Henty, przybyłymi tutaj w roku 1834 celem hodowania owiec. On pierwszy dokładał starań, by z tego nowoodkrytego kontynentu uczynić osiedle brytyjskie lub kolonje karne dla przestępców. Dopiero jednak od przybycia Edwarda i Franciszka Henty rozpoczęło się właściwe życie Australji, jako państwa.

Już w cztery lata później, w roku 1838, okrąg Melbourne liczy 600 mieszkańców, w roku 1843 wzrasta ich ilość do 8000. W latach od 1851 do 1854, gdy znaleziono w Australji złoto, ludność wzrasta z 70.000 do 232.000. Melbourne i Victoria mogą więc słusznie uważać rok 1834 za rok ich powstania, a cała Australja może widzieć w tej dacie zapoczątkowanie planowego, państwowego bytu.

Australja ma za matkę brytyjską nędzę. Osiedleńcy, przybyli tutaj w początkach 19 stulecia w poszukiwaniu szczęścia, byli przeważnie ludźmi, których wyrzucił na obczyznę kryzys ekonomiczny. Rolnictwo angielskie posunęło się wówczas raptownie naprzód. Warunki zmuszały do porzucenia dawnej gospodarki rolnej i pchały coraz bardziej ku wielkiemu gospodarstwu rolnemu. Pokaźna liczba małorolnych straciła podstawy swego bytu. Rozwój techniki pogorszył jeszcze ich trudną sytuację. W fabrykach włókienniczych likwidowano pracę ręczną, zastępując ją maszynową, a temsamem większość chałupników tkackich i przędzalniczych straciła zarobki.

W ten sposób pierwszymi osiedleńcami australijskimi, poza wolnymi wychodźcami, byli zesłańcy. Rząd bowiem wysyłał tam robotników rolnych, którzy niszczyli młócarnie, mszcząc się w ten sposób na nowych czasach, oraz tych nieszczęśliwców, którzy kradli z głodu w polu kartofle i jabłka.

Ówczesne prawodawstwo angielskie było bardzo surowe. Skazywało również robotników przemysłowych, którzy przeciwstawiali się bezwzględności pracodawców, wyzyskujących ich, ich żony i dzieci. Duch liberalizmu wydawał się wówczas jeszcze niebezpieczny w Anglji. Sferom rządzącym było bardzo na rękę uczynić z Australji miejsce zesłania dla tych niewygodnych dla kraju żywiołów.

NIE BYLI TO PRZESTĘPCY

W wielu książkach podaje się, że pierwszymi osiedleńcami Australji byli przedewszystkiem przestępcy. Ci w przeważającej mierze niewinni ludzie nie byli przestępcami w pełnem tego słowa znaczeniu. Byli to tylko rozbitkowie życiowi okresu przejściowego.

Na miejscu zesłania nie traktowano ich wcale jak przestępców. Pracowali jako robotnicy i służący na fermach, korzystając przytem z pełnej swobody. Lecz gdy wyłamywali się spod obowiązujących praw, groziły im ciężkie roboty w specjalnych obozach pracy.

Te stosunki zmieniły się dopiero później, gdy w Parlamencie z ust jednego lorda padły te złe słowa:

— Zesłanie do Australji stało się wygodnem wychodźctwem do kraju o łagodnym klimacie, stało się wprost miejscem wypoczynku.

Od tej chwili warunki zmieniły się radykalnie. Zesłańców zaczęto traktować w barbarzyński sposób. Przez całą drogę więźniowie byli skuci ze sobą, przetrzymywano ich w ciemnych, dolnych pokładach okrętu, często z podbrzuszem zanurzonem w wodzie. W kajdanach przewożono ich również do zakładów karnych, gdzie, według słów misjonarzy, groził im upadek moralny i fizyczny.

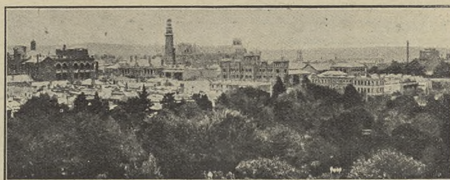
W połowie trzeciego dziesięciolecia sytuacja uległa poprawie, ponieważ rząd płacił towarzystwom okrętowym pewną premję za każdego żywego zesłańca, lądującego w Australji.

Poza zesłańcami udawały się do Australji również rzesze wolnych osiedleńców, którzy chcieli tam stworzyć sobie nowe życie. Po wojnach napoleońskich udał się tam jeszcze trzeci żywioł bardzo ważny dla społecznej struktury i rozbudowy młodej kolonji — byli oficerowie i młodzi synowie szlacheccy, którzy, posiadając znaczny kapitał, zakładali wielkie fermy. Już w początkach stulecia hodowla owiec była dobrze wprowadzona w Australji i dawała znaczne dochody kolonistom. Tubylcy, przeważnie ludożercy, nie przeszkadzali zbytnio osadnikom. Zetknięcie z kulturą europejską przekształciło ich w bezwolnych opojów, których alkohol degenerował. Koloniści wypierali ich coraz bardziej z żyznych gruntów, wgłąb kraju, na nieurodzajne ziemie.

Przez długi czas panowały wśród kolonistów dzikie stosunki. Uciekłszy od surowych obyczajów i konwenansów panujących w Anglji do żyznego kraju o łagodnym klimacie, używali życia bez żadnych hamulców. Do Wielkiej Brytanji stale dochodziły skargi duszpasterzy, przybyłymi tutaj za wychodźcami, na niemoralność i opilstwo. By zaradzić złu, rząd brytyjski postanowił, że wyjeżdżać do Australji mogą tylko żonaci mężczyźni i to poniżej 40-u lat.

Wiele trudności przedstawiało w początkach zarządzanie i zorganizowanie życia zbiorowego w nowych kolonjach. Urzędy londyńskie i korona, nauczone doświadczeniem Ameryki, zdawały sobie obecnie sprawę, że należy pozostawić zamorskim osiedlom swobodę działania, że nie powinno się ich zbytnio kontrolować, ani nie ściągać zbyt wielkich podatków. Lecz do zupełnej samodzielności w rządzeniu było nowe osiedle za młode i niedojrzałe.

Wogóle w początkach brakowało Australji wielu niezbędnych urządzeń. Tak naprzykład nie było zajazdów, ani hoteli. Utarł się więc zwyczaj, że koloniści, luźno rozrzuceni po olbrzymim kontynencie, muszą ugościć, a nawet dać nocleg każdemu wędrowcowi bez względu na to, czy był im miły. Jeszcze obecnie, jako pozostałość po tym zwyczaju, panuje w Australji niespotykana wprost gościnność.



Melbourne, miasto ogrodów i parków.

Nowy kontynent przeszedł w swej młodości trzy ważne etapy rozwojowe. Żywotność pierwszego okresu emigracyjnego była bardzo silna. Z czasem nastąpił zastój, który był bardziej wynikiem gospodarczej i duchowej depresji panującej w kraju macierzystym, niż wynikiem wewnętrznych stosunków panujących w Australji. Dopiero po przezwyciężeniu tego kryzysu nadszedł okres planowej odbudowy. Gdy w połowie zeszłego stulecia znaleziono tutaj złoto, wzrosła liczba ludności, oraz ogólny dobrobyt, a temsamem wzmocniło się państwo.

W roku 1860 miały już wszystkie stany, aż po wschodnią Australję, własne rządy. W przeciwstawieniu do mieszaniny ludów Ameryki Północnej Australja posiada ludność prawie czysto angielską. Lecz typ ten nabrał sczasem swoistych rysów. Nie napróżno przodkami australijczyków byli ludzie, dla których ojczyzna była za ciasna, oraz zesłańcy, których twardy los doprowadził do konfliktu z prawodawstwem brytyjskiem, i wyrzucił na brzegi Australji.

Dlatego mogą nawet jeszcze dziś obywatele australijscy chwalić się ze swego szczególnego dążenia do wolności.

Nie jest również przypadkiem, że ruch robotniczy jest tam bardzo silny.

W roku 1901 Stany australijskie połączyły się z sobą, tworząc Stany Zjednoczone Australji pod nazwą „Commonwealth of Australia". Dopiero podczas wojny światowej, w której dominjum poniosło znaczne straty, wzrosła świadomość narodowa ludności i nastąpiło ściślejsze zespolenie kontynentu australijskiego. Mimo to jeszcze obecnie istnieje wielka trudność w utrzymaniu równowagi między prawami i obowiązkami rządu centralnego a interesami poszczególnych Stanów.

Minione 100 lat państwowego istnienia Australji były latami jej młodości. Obecnie wstępuje ten kontynent w swój wiek męski. W tym okresie nie uniknie on zetknięcia z dwoma zagadnieniami światowemi. Będzie się starał znaleźć odpowiednie dla siebie miejsce wśród narodów walczących o Pacyfik, do którego przeważnie należy. Pozatem będzie musiał w naszym coraz ciaśniejszym świecie otworzyć granice swego kraju, który jest zbyt słabo zaludniony, dla międzynarodowej emigracji.

„Frankfurter Zeitung", Frankfurt.

U ludożerców w 1934 roku

Dwunastego sierpnia 1912 roku mieszkańców miasteczka Rabaul i okolicznych wsi zwołano na zgromadzenie, które miało się odbyć na szerokiej polanie u stóp wygasłego wulkanu. W czasie tego zebrania ludowego przedstawiciel Jego Królewskiej Mości Króla Wielkiej Brytanji, zająwszy miejsce na trybunie, nad którą powiewała flaga brytyjska, odczytał uroczysty manifest w angielszczyźnie „pidgin", (odpowiadającej francuszczyźnie francuskich kolonij). Forma ta, nieużywana w komunikatach oficjalnych, dodała wiele uroku całej ceremonji. Przedstawiciel Wielkiej Brytanji wyrażał się w takich słowach:

Wy widzieć nowy sztandar, piękny sztandar... Ten piękny sztandar należeć Brytyjski i być ładniejszy, niż każdy inny sztadar... Chłopiec brytyjski być ładniejszy, niż każdy inny chłopiec niemiecki... Chłopiec brytyjski kochać dużo, dużo chłopiec tutejszy. Chłopiec tutejszy powinien kochać dużo, dużo chłopiec brytyjski. On bronić chłopiec tutejszy, ale zato chłopiec tutejszy nie jeść więcej człowieka, nie zabijać, nie podpalać, nie być więcej zły chłopiec...

Ponieważ tubylcy oczekiwali zmniejszenia podatków, ustalonych przez Niemców, słuchali tego przemówienia z zadowolonemi minami, i można było się spodziewać, że manifest będzie przyjęty jednomyślnie i z zapałem.

Mówca wygłosił wkońcu te słowa: Wy być dobre chłopcy i wy nie kraść więcej kobiety...

To spadło, jak zimny prysznic... Ale muzyka grała pięknie, rozdawano podarki... Kanakowie zapomnieli z łatwością o tym przykrym incydencie.

MY BYĆ DOBRE CHŁOPCY...

„My być dobre chłopcy" krzyczeli na głos, uderzając silnie w tambury, wyrzucali wgórę lance, ciesząc się na myśl powrotu przez zaludnione miasteczka. „Dobrzy chłopcy" obiecywali sobie odwiedzić po drodze szałasy, zamieszkane przez młode uśmiechnięte dziewczęta... Jednem słowem cały świat zdawał się być zadowolony, że dawniejsza posiadłość cesarza Wilhelma i obok położone wyspy z ich wulkanami, kanibalami, palmami, trędowatymi, rekinami i krokodylami stały się własnością brytyjską.



Czarownik.

Brytanja zarządza niemi w imieniu Ligi Narodów. Każda wyspa ma swego gubernatora, albo swego urzędnika okręgowego: Jeden albo drugi są odpowiedzialni przed naczelnym administratorem, ten znowu przed rządem Australji, który jest odpowiedzialny znowu przed parlamentem w Canberra. Ten zaś musi zdawać sprawę ze swoich decyzyj, powziętych w sprawie wysp przed specjalną komisją genewską. Komisja genewska zaś pozostaje pod kontrolą walnego zebrania Ligi Narodów. Jednem słowem cały świat czuwa nad tem, by pod Krzyżem Południa panował spokój.

DO PIWA WHISKY

W ciągu pierwszych dziesięciu lat żadne zmiany nie zaszły w Nowej Gwinei. Niemcy odeszli, zainstalowali się anglicy, a w barze Rabaul sprzedawano olbrzymie ilości whisky zamiast olbrzymich ilości piwa. Prócz tej różnicy w napoju, życie białych i tubylców było takie same, jak przedtem. Plantatorowie zajmowali się dalej drzewami palmowemi, nieliczni oficerowie szczupłych garnizonów zajmowali się żonami plantatorów, a urzędnicy, jak zwykle, nie robili nic. W głębi dziewiczej puszczy w dalszym ciągu mordowali się nawzajem i nawzajem zjadali dzicy kanakowie. W dalszym ciągu polowali na głowy i dusili te kobiety, które wskutek podeszłego wieku stały się niezdatne do miłości i wydajnej pracy.

W pobliżu portów, gdzie wpadały do morza rzeki, krokodyle i celnicy, wyciągali się w braku innych rozrywek na piasku, aby opa-

(Dokończenie na str. 12)

NIEZBADANA DZIKA SĄSIADKA

Zdumiewające odkrycie nowego ludu w Nowej Gwinei

Ostatnie dziesięciolecie, okres silnej działalności eksploratorskiej, wzbogaciło znacznie zasób naszych wiadomości o świecie. Dziesięć lat temu powszechnie sądzono, że świat nie kryje już żadnych antropologicznych tajemnic. Nie podejrzewano, że wielkie skupiska ludzkie nieznane są jeszcze. A jednak w sercu Nowej Gwinei odkryto nowy lud.

Na wyżynie w głębi wyspy mieszkają tysięczne rzesze ciemnoskórych ludzi, którzy jeszcze dwa lata temu nie widzieli nigdy białego człowieka. W ciągu ostatnich dwóch lat rząd australijski, sprawujący mandat Ligi Narodów nad terytorjum, należącem niegdyś do Niemiec, odkrył około 230.000 nieznanych przedtem ludzi, na północnym wschodzie Nowej Gwinei. Ten „nowy" lud zamieszkuje obszar stosunkowo niewielki, ograniczony Górami Bismarcka na północy a terytorjum Papuasów na południu, obszar, który doniedawna stanowił białą plamę na mapie.

Ludność tego kąta ziemi żyje jeszcze tak, jak w epoce kamiennej. Zajmują się ci ludzie prymitywną uprawą roli. Mają obyczaje niespotykane nigdzie na globie. Biali ludzie są dla nich równie dziwni, jak oni dla nas. W ich pojęciu świat zewnętrzny był światem duchów, a nas, ludzi o białych skórach, uważali za duchy swoich przodków. Dopiero nasze przybycie pouczyło ich o istnieniu jakiegoś świata za górami.

W jaki sposób lud ten był tak długo nieznany — łatwo można wytłumaczyć. Nowa Gwinea, o długości 1500 mil, szerokości 450 mil jest trzecią zrzędu wyspą (po Australji i Grenlandji), i krajem z natury najmniej gościnnym. Spala go podzwrotnikowe słońce, wysuszają wiatry: Wybrzeża, dżungle tropikalne, otaczające morze, i przybierające szybko, rzeki są znane, ale całe wnętrze nie mogło być zbadane, bo otoczone jest łańcuchem wysokich gór. Teraz jednak, dzięki samolotom, na których poszukiwacze złota przedostają się wgłąb lądu, krainy te udostępniły się i dla władz administracyjnych wyspy i dla geografów i dla antropologów. W ten sposób zdołano poznać okrąg Morobe i złote pola nad zatoką Huona.



Bojownik.

Mimo, że dróg jest jeszcze niewiele, sporo już jest miejsc lądowania. Granicę jednak stanowił doniedawna łańcuch gór Kratke, rozciągający się na zachodzie. Co było za nim? Pewien misjonarz protestancki, w r. 1926 i poszukiwacze złota, w roku 1930 dotarli do źródeł rzeki Ramu i opowiadali, że dalej rozciąga się wyżyna nieznanej wielkości, płaskowzgórze o zupełnie odmiennym niż wybrzeża charakterze.

Zrazu podejrzewano istnienie tam wielkiego jeziora górskiego, z którego początek biorą wszystkie rzeki płynące od północy i od południa. Domniemane jezioro okazało się jednak wyżyną od 5000 do 8000 stóp nad poziomem morza. Po kilku ekspedycjach, z których najdłuższa trwała siedem miesięcy, nieznany ląd odkrył nam wiele swych tajemnic. Zdołano zbadać około 5000 mil kwadratowych lądu i wcielić ćwierć miljona dusz do ludności świata.

Samolot odkrywca

Jeżeli możliwe było w ciągu kilku lat tak dokładne zbadanie nieznanych przedtem terytorjów, zawdzięczamy to przedewszystkiem samolotom. Wznosząc się ponad górami i dżunglą, aeroplan wybiera najlepsze szlaki dla badaczy, uprzedza o ewentualnych niespodziankach zawczasu i spełnia pracę pionierską w sposób taki, o jakim dwadzieścia pięć lat temu trudno było marzyć.

Kiedy nasza ekspedycja wysiadła z aeroplanów w Bena-Bena otoczyli nas tubylcy. Usposobieni byli przychylnie. Całowali swoje ręce i starali się przytknąć je potem do naszych warg, dotykali przyjaźnie rozmaitych części naszego ciała. Kiedyśmy starali się uniknąć tych dowodów sympatji, rozdzielali nas od siebie i otaczali zwartem kołem.

Byli to ludzie średniego wzrostu, doskonale zbudowani, o ciemnych skórach i regularnych rysach. Niektórzy uzbrojeni byli w łuki i strzały i przygotowani na wypadek zaczepki, ale większość złożyła broń w trawie.

Zauważyliśmy, że wielu dorosłych mężczyzn miało długie trzciny opasane wokół szyi. Na nasze pytające spojrzenia, odpędzili kobiety i dzieci i zaczęli pokazywać dziwne rzeczy. Jeden z nich odwiązał trzcinę, włożył jeden jej koniec w usta i wsunął trzcinę głęboko w przełyk. Wtedy dwaj starcy pochwycili zwisający koniec trzciny i zaczęli skakać w miejscu, wydając dzikie okrzyki, podczas gdy połykacz trzciny wysiłkiem mięśni utrzymywał drugi koniec trzciny w krtani.

Śmiejący się dzicy

Na widok naszego zdumienia, dzicy zanosili się od śmiechu. Byli tak zadowoleni, iż potrafili nas zadziwić, że natychmiast zabrali się do tańca na naszą cześć; echo ich krzyków i śpiewów odbijało się o odległe pagórki.

W oczekiwaniu na lepszą pogodę, mieliśmy okazję badać dzikusów z Bena Bena, oni zaś przyglądali się nam, oglądając nasz obóz zbliska i zrywając sznur, którym był otoczony.

Ponieważ pogoda nie sprzyjała, zaniechaliśmy ekspedycji wgłąb lądu i odlecieliśmy spowrotem do naszej kwatery, pozostawiając na miejscu tylko jednego z nas. Mr. Taylor po wstępnych badaniach, w marcu 1933 udał się pieszo na zachód, w nieznane jeszcze strony. Z nim razem poszło siedmiu tubylców na służbie angielskiej i grupa tragarzy. Pozatem szła jeszcze grupa poszukiwaczy złota, badająca nowe krainy pod tym kątem widzenia. W momencie kiedy ekspedycja ruszała w drogę, przyłączyło się do niej dziesięciu młodzieńców z Bena Bena, którzy zdążyli już przywyknąć do białych i nabrać do nich zaufania.

Taylor, oglądając kraj z samolotu, zauważył wiele tubylczych plantacyj. Dlatego też zabrał ze sobą niewielką ilość ryżu, natomiast dużo muszli, siekier i noży dla handlu zamiennego. Przez dziesięć dni ekspedycja szła w kierunku północno-zachodnim, mijając wiele osad podobnych do Bena Bena. Im dalej szli, tem bardziej zmieniał się typ spotykanych ludzi. Kobiety miały tatuowane twarze, nozdrza i płaty uszu przedziurawione i przystrojone muszelkami czy trzciną. Dzieci bawiły się brzęczącemi zabawkami. Mężczyźni mieli popodwiązywane długie brody, i nawoływali się przy pomocy gwizdków nieznanych w innych częściach Nowej Gwinei. Gwizdki te są dosyć grube i mają trzy otwory, jeden na usta, a dwa na palce. Jeszcze dalej na zachód, ludzie byli niższego wzrostu, stroili się w pióra ptasie i naszyjniki ze świńskich ogonków.

Osiedla także zmieniły charakter. W okręgach Ramu i Bena Bena tubylcy budują wielkie wsie o okrągłych domach ze szpiczastemi, stożkowatemi dachami, plantacje zaś i duże ogrody są starannie utrzymane, skanalizowane i wydrenowane. W nowo odkrytych okręgach ludzie stawiają domy długie i niskie, a ogrody mają inny wygląd: są przeważnie jednakowej powierzchni około dziesięciu stóp kwadratowych; dreny zrobione są drewnianą motyką, a wykopana ziemia rzucana na grządki, na których rosną słodkie kartofle.



Typy tubylców australijskich.

Broń

Różnice zaznaczają się także w prymitywnej broni. W okolicach, znanych przedtem, jak Bena Bena, w użyciu jest łuk i strzały. Nowy lud używa włóczni i kamiennych maczug, najładniejszych ze wszystkich spotykanych w Nowej Gwinei. Taylor przekonał się także, że zwyczaj łykania trzciny zanikał im dalej na zachód, zarówno jak zwyczaj gotowania na gorących kamieniach w piecach, zrobionych z wydrążonych pni. Ludzie przybierali się w szerokie pasy z kory i porozumiewali nie zapomocą gwizdków, lecz przeciągłych krzyków, podobnych do tyrolskiego jodlowania.

Przeszedłszy okolice, zamieszkane przez ludzi niewielkiego wzrostu, Taylor napotkał ludzi wysokich, których charakterystycznym obyczajem było zakładanie zieleńców, przypominających parki, ozdobionych karłowatemi krzewami i przeznaczonych na rytualne tańce i inne ceremonje. Tutaj także panował zwyczaj publicznego przemawiania do ludu najstarszych z rodu. W rezultacie, Taylor przyniósł wiadomość, że ten nieznany kraj zamieszkały był przez trzy warstwy tubylcze, dotychczas nieznane. Żyjąc w odosobnieniu, na pokrytem trawą wyżynnem plateau, izolowani byli od reszty świata i mogli zachować nietkniętą prymitywną kulturę, wolną od wpływu mieszkańców wybrzeży, oddzielonych od nich łańcuchami gór.

Siedemdziesiąt mil na północ od Bena Bena, Taylor urządził lądowisko na wysokości 5000 stóp nad poziomem morza i tam rozłożony został obóz wyprawy. Stąd badacze robili wypady w doliny na północy i na południu. Odkryli nowy łańcuch gór, ciągnący się wzdłuż granicy Papui pomiędzy Mount Joseph i Mount Hagen, o czterech szczytach mierzących ponad 13.000 stóp. Wdrapali się na szczyt Mount Hagen, na 12.000 stóp i odkryli tam cały szereg małych jeziorek. Droga z gór prowadziła przez wąwozy pełne olbrzymich korzeni i gałęzi, pokrytych mchem, wilgotne i ciche, aż na wysokość 11.000 stóp, gdzie rozciągały się łąki, porosłe stokrotkami, jaskrami i wrzosem. Zbadali źródła rzek Jimmi i Lebyer i stwierdzili wyraźną różnicę w typie ludzi z północy i z południa.

Podczas wyprawy tubylcy przyjmowali uczonych z ciekawością, strachem i szacunkiem. Wierzyli tak silnie, że biali ludzie są duchami ich zmarłych przodków, iż nazywali ich po imieniu. Bili im pełne czołobitności pokłony, pomagali w noszeniu ciężarów i odprowadzali jak mogli najdalej. Ale, kiedy Taylor po jakimś czasie wracał tą samą drogą, ci sami dzicy mieli postawę tak wrogą, że trzeba było strzelać do nich w obronie własnej. W miesiąc później znów byli przychylni.

Taylor oblicza, że podczas wyprawy spotkał około 100.000 ludzi z plemion przedtem nieznanych, którzy nie widzieli nigdy dotąd białego człowieka. Ludność płaskowzgórza od gór Kratka po Mount Hagen liczy przypuszczalnie około 200.00 głów.

Opis jego wyprawy zajmie prawdopodobnie wiele miejsca. Tutaj chcę tylko wspomnieć jeszcze o jednem z jego odkryć. Znalazł mianowicie mozdzieże kamienne, nieznane zupełnie wśród plemion współczesnych, takie, jakich starożytni Egipcjanie używali do tłuczenie ziarna. Może to być dowodem, że kraj ten zamieszkiwały inne ludy o innej kulturze, które zniknęły już dawno.

Nowoodkryte ludy będą interesowały rząd australijski przez długie jeszcze lata, nawet jeżeli nie znajdzie się na nowych terenach złota w dostatecznej ilości. Przedsięwzięte będą starania, jak we wszystkich takich krajach, żeby ustanowić nad ludem tym kontrolę rządu, znieść ofiary z ludzi, i inne panujące jeszcze wśród nich ludożercze praktyki.

Postęp nadejdzie powoli, ale ułatwi go ta okoliczność, że w Australji jest cały szereg światłych ludzi, rozumiejących swe zadania i współpracujących ze sztabem wykwalifikowanych naukowców-antropologów.



Połykacz trzciny.

„The New York Times Magazine", New York

U ludożerców w 1934 roku

(Dokończenie ze str. 10-ej)

lać się niczem na plaży w Juan-les-Pins. Krótko: życie było prawdziwą idyllą.

Wszystko to dzisiaj należy do przeszłości. Dzisiaj podróżnik wysiadający w Rabaul, stolicy Nowej Gwinei, szukałby napróżno śladów dawnego życia, wygodnego, beztroskiego. Zmieniło się wszystko i z dawniejszej Nowej Gwinei nie pozostało nic, prócz krokodylów i celników, którzy w dalszym ciągu są tak niesympatyczni, jak byli przedtem.

Ludność Rabaul pomnaża się z dniem każdym, buduje się nowe drogi, otwiera się sklepy, tępi się moskity, organizuje się ekspedycje w głąb niezdobytej dżungli, zdobywa się nowe wyspy. Misjonarze z krzyżem w ręku, awanturnicy, zdobywcy z fuzją w ręku, wdzierają się w głąb dziewiczej puszczy. Dzięki tym wysiłkom, stale ponawianym, mimo że pionierzy oddają Bogu ducha pod czarującem sklepieniem tropikalnej nocy, a ciała ich są wleczone i pożerane przez zwierzęta albo gorszych od zwierząt ludzi, — drogi, przecinające dżungle i otwierające do niej dostęp, stają się z każdym dniem liczniejsze. Te drogi przecinające nierozerwalny splot dzikich ljan, zagrażają ostatniej ostoi kanibalów i łowców głów.

Nowa Gwinea budzi się do życia. Organizuje się. Wytęża wszystkie swe siły dla zwalczania dzikich plemion, które stały się potężne i przedsiębiorcze, ponieważ dano im zupełną swobodę. Dziś nie wystarczają już kantory, zakładane na morskiem wybrzeżu blisko portów; biali chcą opanować całe terytorjum, chcą wypełnić tę dużą pustą plamę widniejącą na mapie Nowej Gwinei, na której widnieje napis: „Okolice nieznane".

A WSZYSTKO PRZEZ „OKO REKINA".

Skąd ten nagły zapał? Trzeba być bardziej naiwnym, niż Huron Voltaire'a, by sądzić, że biali i metysi, australijczycy, brodaci traperzy z Kanady, byli marynarze zbiegli z San-Diego, zdegenerowani intelektualiści z Europy Centralnej, olbrzymi kozacy ze stepów Syberji, wysiadają w Nowej Gwinei poto, aby zatknąć sztandar cywilizacji w dziewiczej puszczy, i nauczyć dzikiego kanaka, że to jest niedelikatnie smażyć i zjadać swoich wrogów, czy nawet przyjaciół i kuzynów...

Można tu spotkać misjonarzy i uczonych, ale pęd do dżungli, który trwa już od dziesięciu lat, niema nic wspólnego z zapałem cywilizacyjnym, religijnym i pacyfikatorskim, ani z ciekawością naukową ludzkości. Jeżeli się toczy teraz walki z kanibalami, z moskitami, z żółtą i czarną febrą, jeżeli się ścina niebotyczne szczyty, jeżeli się osusza bagna, i walczy z rozpaczą o życie, naprawdę niewarte zabiegów w tych okolicach, jeśli ludzie umierają jak muchy, w tym przeklętym kraju.... — jeżeli dokonywany jest ten cały wysiłek, i tysiące idą na tę gehennę, tortury, śmierć — to poprostu dlatego, że w 1934 roku pewien człowiek imieniem Pak odkrył w pobliżu rzeki Koranga — Oko Rekina — małą żyłę żółtego metalu... Gorączka złota...

„Excelsior", Paryż.

Równoległe karjery Isaacs'ów

Gubernator generalny Australji Sir Isaac Isaacs, który obecnie oprowadza księcia Gloucesteru po Melbourne ma za sobą karjerę dziwnie równoległą do karjery swojego imiennika Rufusa Isaacsa, dziś lorda Reading. (Marquess of Reading)

Obaj są synami żydowskich kupców. Obaj poświęcili się, jako zdolni młodzieńcy z dobrych rodzin, zawodowi prawniczemu. Obaj szybko osiągnęli godność członków palestry w Middle Temple. Obaj otrzymali tytuł radców królewskich (King's Counsel). Obaj stali się członkami Parlamentu, obaj ministrami sprawiedliwości, jeden w Anglji, drugi w Australji, obaj prokuratorami generalnymi.

Obaj byli udekorowani wielką komandorją najwyższych orderów, obaj byli najwyższymi sędziami, (Lord Chief Justice), obaj członkami tajnej rady królewskiej (Privy Councillors).

Potem Reading został wicekrólem Indyj. Zdawało się, że równoległość ich karjer urwie się. Obaj spotkali się w Londynie i żartowali na ten temat.

Wkrótce jednak Isaac Isaacs został, jako pierwszy australijczyk, generalnym gubernatorem Australji. Równoległość została przywrócona.

Obaj byli najwyższymi dygnitarzami dominjów Imperjum Brytyjskiego.

Reading ma jednak wciąż jeszcze pewną przewagę nad Isaacsem. Jest parem Anglji.

Powszechnie jednak sądzą, że po wizycie królewskiej, Isaac Isaacs otrzyma również godność para.

„Daily Express" Londyn

Wyścig Londyn — Melbourne
Fundator wyścigu

Wyścig został zorganizowany dzięki pewnemu mecenasowi australijskiemu nazwiskiem sir Macpherson Robertson.

Baronet i multimiljoner, mający dzisiaj 74 lata, w roku 1870 był małym chłopcem w połatanych spodenkach, mieszkającym w Szkocji. Życie w Szkocji nie jest łatwe i okazja do zbogacenia się nader rzadka. Robertson postanowił wyemigrować. Uzyskał przejazd do Australji, gdzie miał zamiar zostać poszukiwaczem złota.

Nie mając za co kupić potrzebnych narzędzi, wyrabiał w swym ubogim pokoiku w Melbourne słodkie cukierki. Uzyskane ze sprzedaży pieniądze odkładał, aby w przyszłości móc wyruszyć na poszukiwanie przygód i — fortuny.

Tymczasem, na ulicach miasta rozchwytywano cukierki jego wyrobu, t. zw. „toffees". Wziął sobie kilku pomocników, kupił mały sklepik, potem dom, potem fabrykę i wreszcie wybudował wielkie zakłady przemysłowe.

Pewnego dnia spostrzegł, że jest już za stary, aby wyruszyć na poszukiwanie złota. To już nie miało żadnego sensu! Robertson stał się najsłynniejszym fabrykantem czekolady południowej półkuli i na jego koncie w Banku Angielskim i w Banku Australijskim widnieją miljony funtów szterlingów.

Energję, której nie mógł poświęcić przygodom, oddał sportom. W wieku, w którym inni leczą swe reumatyzmy i wspominają dawne, dobre czasy, Robertson gra w piłkę nożną, w golfa, a przedewszystkiem jest entuzjastą lotnictwa.

Gdy Komitet uczczenia stulecia Stanu Melbourne i Victoria zaprosił go do wzięcia udziału w przygotowaniach do obchodu, zgodził się na tę propozycję natychmiast.

— Oto sto tysięcy funtów — rzekł — ale pod jednym warunkiem: nie zużyjecie ich na postawienie pomnika jakiemuś pseudo-zasłużonemu panu, czy też na udekorowanie latarni ulicznych girlandami kwiatów! Jak się zapatrujecie na międzynarodowy wyścig samolotów z Londynu do Melbourne?

Pomysł przyjęto z entuzjazmem.

„Gringoire", Paryż



— *Daję słowo honoru, że to nie moje, to koleżanka dała mi do ponoszenia.*
„Bally hoo", Nowy Jork.



Redakcja: Warszawa, Króla Alberta 1 Nr. 3, tel. 2-33-19, czynna w poniedziałki godz. 18—19. Konto P. K. O. Chronos Nr. 14-9-46.

Administracja: Warszawa, Króla Alberta 1 Nr. 3, tel. 2-33-19, czynna codziennie 10—13. Prenumerata w kraju: mies. 1 zł. 60 gr., kwart. 4 zł. 80 gr.; zagranicą mies. 3 zł., kwart. 9 zł. **Ogłoszenia:** za wiersze 1 mm. szerokości 1 szpalty 70 groszy, za tekstem: 90 groszy w tekście.

Redaktor odpowiedzialny: **Michał Sas.** Wydawca: **Wydawnictwo „Chronos" sp. z o. o.**

Druk. „Monolit", Warszawa, ul. Elektoralna 3, tel. 5.81-92.